Numer 27. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 3 Lipca 1927.

ROLA

KRAKÓW, ulica św. Tomasza 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Humor i satyra.

Profesor wydziału prawnego do studenta podczas egzaminu:

— Co to jest oszustwo?

— Oszustwem będzie — odpowiada student — jeżeli nie zdam egzaminu.

— A to dlaczego?

— Według prawa karnego winny oszustwa jest ten, kto wyzyskuje nieświadomość innej osoby z jej szkodą.



Cofnięta obelga.

Na posiedzeniu Rady miejskiej w małej prowincjonalnej dziurze szwedzkiej, jeden z obecnych w toku namiętnej dyskusji, oświadczył, iż uważa połowę swoich kolegów za idjotów. Na sali powstaje nieopisana wrzawa, wszyscy domagają się, by mówca publicznie i piśmiennie cofnął tę obelgę, co tenże obiecuje uczynić. Istotnie, nazajutrz pojawiło się na murach ratusza obwieszczenie następującej treści, podpisane przez krewkiego Szweda: „Poczytuję sobie za obowiązek oświadczyć, iż połowy radców miejskich nie uważam za idjotów“. Afisz pośpiesznie zdjęto i dalszych rozpraw zaniechano.

Świadectwo.

„Zaświadczam, że Florentyna Pstrąg, pełniła u mnie służbę wiernie, uczciwie i pracowicie od godz. 7 rano 23 kwietnia r. b. do 5 popołudniu tegoż samego dnia“.



Nie tego, ale tego.

— O co chodzi, proszę pana? Czy za dużo soli w zupie?

— Nie. Za mało zupy w soli.



Na odchodnem.

Znany z dowcipu komedjopisarz francuski Tristan Bernard spożywa śniadanie w jednym z najelegantszych hotelów na Riwierze. Rachunek wypadł bardzo słony. Tristan Bernard każe zawołać zarządzającego.

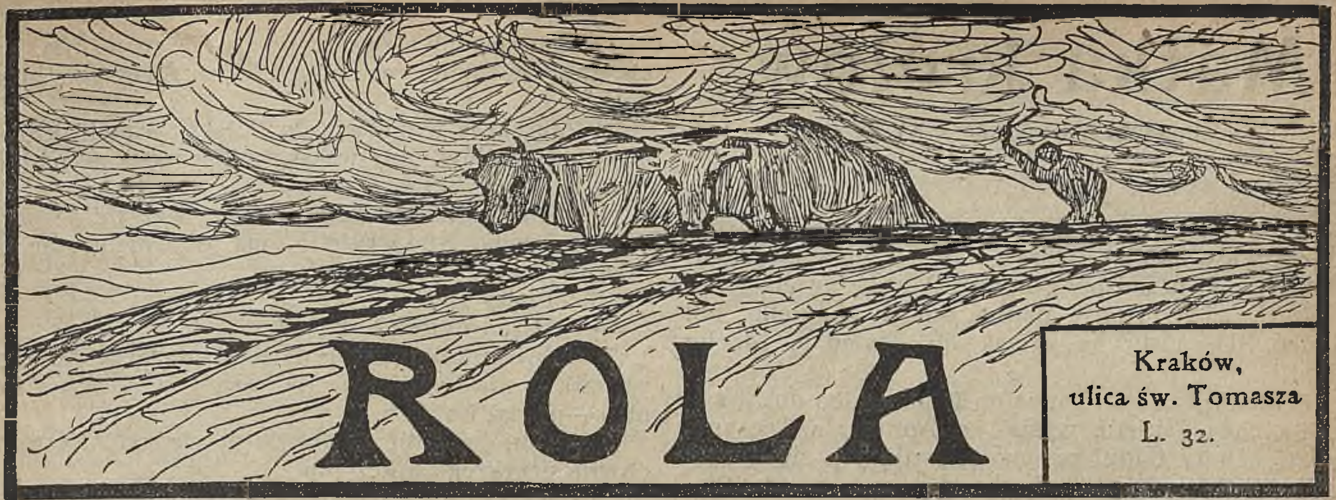
— Pan jest dyrektorem restauracji?

— Tak jest!

Bernard zapłakał i rzucił mu się w ramiona:

— Najdroższy! Uściskaj mnie! Pocałuj mocno, mocno! Już się nigdy w życiu nie zobaczymy!

Numer 27. Rok X. Kraków, dnia 3 Lipca 1927.



ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Miłość Ojczyzny.

Święta miłości kochanej Ojczyzny
Czują cię tylko umysły poczciwe.
Krasicki.

Czy przyglądaliście się odjeżdżającym rodakom za pracą, za ocean, do Ameryki lub do Francji? Nie wszyscy może z was byli świadkami scen pożegnania, nie wszyscy widzieli te sceny rozdzierające serce. Nie jest to tylko rozstanie się z rodziną i przyjaciółmi, ale pożegnanie z ojczystą ziemią. Jadą na niepewne jutro, w świat nieznany, na ciężkie prace do obcych, którzy z nich wyssają krew, odbiorą wszystkie siły, a potem który z nich powróci do kraju »łachmanem ludzkim«, nieużytecznym później, że jeno w mogiłę go włożyć. Jakże smutno jest odjeżdżać z Polski, mimo wzywającego nas piękna, do innych piękniejszych w krajów, których potem płynie z naszej duszy ocean tęsknoty, by znowu ujrzeć swój kraj daleko zostawiony. Choćby najlepiej było nam u obcych, zawsze się serce wyrywa do rodzinnych stron, do Polski, bo tam jest wszystko: rodzina, radość i bieda, która jest szczęściem z oddalenia, groby ojców i ziemia najpiękniejszą na świecie. My w kraju, nie pojmujemy owych tęskliwych żarów dusz polskich, rozsianych po całym świecie w tułaczce za chlebem, którego nie mogli zdobyć w Polsce. Wygnał ich głód z chaty — a potem śnią Polskę po całych nocach, płaczą w bolesnej tęsknocie, jak za utraconem szczęściem. Tęsknota rodaków za oceanem, na lądach dalekich, to modlitwa duszy najświętsza, rosnąca w niej w słońce promiennego zachwytu i miłości!

Bo rzeczywiście całem szczęściem istnienia naszego to ziemia, która nas żywi w promiennem śpiewie słońca, na tle wspaniałej przyrody. Kochamy ziemię a nadewszystko kochać musimy ojczyznę. W niej jest cały świat i wszelkie wymarzone piękno, W niej się poczęło nasze dzieciństwo, owa baśń, która nas wykołysała czarem cudownych wspomnień przeszłości. Nam szumiały sine rzeki i lasy granatowe, kryjące płaszczem wysokie, gołe góry, śpiewało ptactwo nad kołyszącemi się łanami żyta i pszenicy, porykiwały na łąkach stada krów, grała fujarka nieuczonego biednego pastuszka. Kto wchłonął w siebie cud istnienia i piękno ziemi ojczystuj, ukochał jej przyrodę dziką lub łagodną, szumy łaskotliwego a ukojnego wiatru, w czas skwaru letniego, niebo, legendy przeszłości, historję i kulturę polską — ten niebem żyje, z każdym się dzieli tem niebem, i zażywa błękitnej radości żywota!

Czyż nie warto kochać tej ziemi cudownej, męczeńskiej, ziemi przesiąkłej krwią bohaterów, ziemi Kościuszki, Traugutta, Czarnieckiego, Matejki, Grottgera, Szopena, Mickiewicza, Słowackiego i Lenartowicza? Czyż nie warto kochać jej potężnych duchów, świecących przyszłości narodu w jego pochodzie? Bóg ześle nam na nasze niebo korowód łaskawych słońc, one tę ziemię opromienią na wieczność, i świecić będą nam w ciemnych nocach. Ziemia nasza rodzić będzie sytnie, że chleba nigdy nam nie zabraknie. Szczęście idzie ku nam świetlane, radość zakwita, a serce polskie pokocha całą ludzkość.

Kochajcie Ojczyznę! Dobądźcie z serc waszych miłość! Śpiewajcie o niej, niech wiedzą inne narody, że żyje wolnością piękną naród poetów, bohaterów, genjalny duch Słowian, który wnosi w ludzkość miłość i pokój, za który będzie umierał. Niechaj miłość zrodzi w nas zgodę, zjednoczy, a wy wielcy dążcie w przyszłość — do Boga!

Franciszek Lipiński.

Matka królów.

Powieść historyczna z XV w.

IV.

W niedzielę następną, biskup wileński Maciej znowu w kaplicy naprędce przy królewskiej komnacie urządzonej, odprawił mszę świętą.

Od owego piątku ani Świdrygiełło, ani Siemion Helszański na zamek nie zaglądali. Głucho było.

Przebąkiwano o tem, że do Krewa, albo do Nowogródka chcą Jagiełłę wysłać, a Andrzej z Tęczyna, Mężyk, Hincza i inni przemyśliliwali, jak się oprzeć gwałtowi. Nieco jednak rachowano na kniazia Siemiona.

Po mszy świętej biskup króla na osobność wziąwszy zwiastował mu nowinę, którą miał przez ojców Franciszkanów, że szlachta na zjeździe uchwaliła wszystkiemi siłami natychmiast zebrać się w Kijanach nad Wieprzem i nie mieszkając, stąd wyruszyć na Litwę.

Świdrygiełło miał już o tem od wczoraj wiadomość. Nie spodziewał się, aby tak prędko Polacy ruszyć się mogli.

Król uradował się i nastraszył, aby wiadomość o wojsku nie rozjątrzyła Świdrygiełłę nieco już uchodzonego.

Ks. biskup Maciej, donosząc o tem, wynosił pod niebiosa wielką gorliwość i starania królowej Sonki, która nie miałą spoczynku, dopóki zjazdu nie wyprosiła, a potem sama na nim nie wymodliła postanowienia zbierania się pośpiesznego wojsk, dla oswobodzenia króla. Mówił, iż cała Korona wiedziała, iż pośpiech ten był dziełem królowej. Ona jedna sprawiła to na zjeździe, iż się nie ociągano do wiosny, ale póki jeszcze trzymała zima, postanowiono wyruszyć, korzystając z błot i rzek zamarzłych.

Stali tak, rozmawiając u okna, gdy Jagiełło, spojrzawszy w nie, pobladł. We wrotach, które widać stąd było, zobaczył wjeżdżającego na koniu Świdrygiełłę. Szczęściem towarzyszył mu kniaź Siemion...

Dworzanie spiskowi, zdaleka jadącego zobaczywszy kniazia, wedle danego słowa, natychmiast się obwołali, aby każdy stanął na miejscu wyznaczonem.

Cisza zaległa komnatę i u drzwi tylko, pod któremi stali spiskowcy, uchyliwszy je tak, aby klamki podnosić nie było potrzeba, ciężkie oddechy słychać było.

Jagiełło wolnym krokiem wyszedł naprzeciw brata, przygotowany na wszystko, co go spotkać mogło.

Świdrygiełło blady z wargą zakąszoną, i niespokojnie biegającemi oczyma wszedł, nie tak śpiesząc jak zwykle, do izby królewskiej. Zdjął kołpak z głowy, czego dawniej nie czynił nigdy.

— Nu, co? Lachy plotą, że ja ciebie trzymam w niewoli? Ja chciałem tylko, abyś oddał podolskie zamki, które się Litwie należą, tak jak Witold je dzierżył. Jam niegorszy od niego. Dałeś listy, ja ciebie nie wiążę. Bywaj sobie wolny... Jeszcze ci w podarunku ze kazałem sto tysięcy rublów wydać, a dla twojego dworu soboli, kun, i szub i jedwabnic tyle, aby im na całe życie stało. Będziesz się jeszcze skarżył na mnie? Wracaj do Polski. Lachy mnie jakiemiś posłami grożą, ja z nimi gadać nie będę, nie potrzeba posłów... Na co? Wojskiem mnie grożą, albo ja wam wojnę wypowiadałem?

Słuchającemu Jagielle twarz się rozjaśniła, wyciągnął ku niemu ręce obie, ale ich Świdrygiełło nie dotknął.

— Ja zaraz wyprawię do Polski, — rzekł król — aby ani posłów, ani wojska nie wysyłano nadaremnie...

— Ale zamki podolskie moje! Każ mi je zaraz zdać — dodał Świdrygiełło, już głos podnosząc namiętniej.

Król oczy spuścił.

— Wszak dałem listy.

— Nu! nu! Byle twoje Laszki ni szarpały się, nie rzucali, a nie kusili się odbierać, bo naówczas wojna! — począł kniaź.

Nic mu już król na to nie powiedział. Nastąpiła chwila przykrego milczenia.

— Wracaj sobie do żonki — rzekł szyderczo Świdrygiełło. Teraz jeszcze stąd srebra jak lodu wywieziesz dosyć, a i podarków się nie powstydzę. Nu, wrota otwarte, nie trzymam was... Z Bogiem, wracaj sobie do Polski...

Podrzucił głową Świdrygiełło, i gdy król zbliżył się, aby mu podziękować, on kołpak nałożywszy, ani na niego, ani na nikogo nie patrząc, już do drzwi się zawrócił i wyszedł.

Kniaź Siemion pozostał.

Na dworze królewskim niewypowiedziana radość po niepokoju i trwodze nastąpiła. Jagiełło odżył.

Nie mając kogo uścisnąć, objął kniazia Siemiona bo jemu przypisywał tę nagłą szczęśliwą zmianę.

Holszański się wypierał, i szeptał cicho.

— Z Polski przyszła wiadomość o wojsku... Sonka przyśpieszała wysłanie. Jej podziękujcie!

Jagiełło ręce składał do modlitwy.

W pierwszej chwili, nie wyjmując króla, wszyscy poszaleli z radości. On tylko, korzystając ze szczęśliwej zmiany, dowodził już, że brat dziwak, porywczy, szalony w sercu był dobrym i przywiązanym do niego...

Na to inni milczeli; wiedziano bowiem i patrzano codzień na tę dobroć, kórej ofiarą ludzie padali.

Drzewicki tegoż dnia listy do królowej i senatorów wygotował, donosząc, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło, a Jagiełło z niewoli powraca.

Jagiełło, czując się już bezpieczniejszym, chciał w lasy litewskie puścić się na łowy, za którymi był stęskniony, ale Andrzej z Tęczyna i Drzewicki uprosili go, aby tego nie czynił, co rychlej Wilno opuścił, a do Polski śpieszył, gdzie na niego królowa i panowie niespokojni oczekiwali.

Możeby im nie dał się tak łatwo skłonić do tego Jagiełło, gdyby tego dnia wieczorem, nie przyszedł kniaź Siemion przestrzedz poufale, iż Świdrygiełło po pijanemu znowu się odgrażał na króla, i jeśliby zamków podolskich nie zdano, niewolą i zemstą się odkazywał.

Dwór więc króla, już prawie go nie słuchając, wozy wytaczać kazał, ładować je, zbierać skrzynie, wiązać sakwy, konie kuć i na gwałt się do podróży sposobić.

Dzień już był do drogi wyznaczony, gdy Jagiełło zażądał koniecznie pożegnać brata, który sam do niego przyjść nie chciał. Wziąwszy więc z sobą Drzewickiego, Tęczyńskiego i trochę ludzi, pojechał do Gastoldowego dworu.

Tu po całych dniach i nocach biesiadowano, i jeżeli kniaź był w domu, zawsze, o wszelkiej godzinie, zastać go było można za stołem z podpiłymi bojarami, przy misach i dzbanach.

Nieinaczej też znalazł go Jagiełło. Widząc go wchodzącego, kniaź nawet nie raczył powstać, bojary tylko ruszyły się z czołobitnością.

Świdrygiełło był dosyć dobrej myśli, choć się jej dowierzać nie godziło. Począł do króla wołać zdala.

— Jedziesz już! to jedź... jedź, a nie okłamuj mnie, żem ja cię tu męczył i w niewoli trzymał. Nic ci się nie stało, cały jesteś, powracasz do żony... Z innym człowiekiem nie ze mną, nie takby ci łatwo poszło!

Król mu wtedy, przysiadłszy na ławie, dziękując za dary, łagodnie rady dawać zaczął, aby Polaków i tak już rozdrażnionych nie jątrzył, a z królestwem i z nim wiernie trzymał.

— Mam ja swój rozum, ty mnie nie ucz — przerwał Świdrygiełło mu — będę wiedział, co czynić! Poznają mnie Laszkowie twoi... niech się tylko tu osiedzę.

Z rana nazajutrz król z całym pocztem swoim, zajechał do O. Franciszkanów wysłuchać mszy świętej, dokąd i biskup Maciej go przeprowadził. Tu Jagiełło, obdarzywszy mnichów, weselszy puścił się w drogę, naprost zmierzając w Chełmskie.

Gdy w lasy wjechali ,a powietrzem ich, do którego pierś jego tak była nawykła, stary odetchnął... dopiero mu życie wróciło i całą swobodę i wesołość odzyskał. A że wszędzie po drodze spotykali go ludzie z poszanowaniem cześć mu oddając, dotkliwiej teraz rozpamiętywać musiał, jak wielkiego doznał w Wilnie upokorzenia. Skarżył się też przed wszystkimi i przypominając niewolę, a obchodzenie się z nim brata, oburzał przeciw niemu.

Od granicy szlachta witając, zabiegała mu drogę. Z Krakowa dano wiedzieć, że królowa Sonka, biskup Zbyszek, wojewodowie: krakowski i sandomierski, kasztelan krakowski, marszałek wielki i innych dosyć panów, ciągną przeciw królowi, który na zapusty z Tura miał przybyć do Sopoty i tam z żoną i z nimi się spotkać.

Sonka wiozła z sobą dwu synaczków, dla których właśnie zjazd naznaczył był nauczyciela i nadzorcę, Wincentego Kota z Dębna, kustosza gnieźnieńskiego, i szlachcica Piotra Ryterskiego.

W Sopocie zastał król wszystkich oczekujących już nań. Zapłakana królowa z dziećmi szła go witać.

Starszyzna do nóg mu się kłaniała, biskup błogosławił i kropił wodą święconą, tłumy czapkami podrzucały, wołając:

— Żywie!

Serce rosło staremu, widząc jaka go tu miłość otaczała.

W Sopocie, nie zatrzymując się długo, ciągnęli wszyscy na mięsopust do Sandomierza, dokąd szlachta była zwołana.

Tu poprzedził dwór Hincza, który jako świadek naoczny, opowiadał o niewoli królewskiej, o znęcaniu się nad nim.

Wiedziano już z odgłosu, co Jagiełło w Wilnie wycierpiał od brata, a choć samej prawdy dosyć było, aby ludzi oburzyć, Hincza niejedno do niej dołożył, tak, że króla w Sandomierzu, jak męczennika witać się gotowano.

Zwiększyło i to gniew szlachty przeciw Świdrygielle, że załogi jego z zamków pogranicznych w Lubelskie i na Ruś na łupieże wpadały, jakby wojnę wywoływać chciały.

Narady w Sandomierzu burzliwe były w początku, zwłaszcza z powodu Podola i Łucka, do Korony należącego, które sobie Świdrygiełło gwałtem przywłaszczył.

Stąd wysłano poselstwo do niego, wzywając na zjazd wspólny i układy, na co, jak przewidzieć było można, kniaź drwiąc odparł, że nie potrzebuje ani zjazdów odprawiać, ani się o nie układać, a to co trzyma z prawa krwi i spadku, tego nie odda nikomu.

Królestwo oboje byli już w Krakowie, gdy pokrzywdzony Lutek z Brzezia, ledwie z życiem wyrwawszy się Świdrygielle, z Wilna powrócił, o pomstę wołając. Zapowiadała się już otwarta wojna z tym bratem niewdzięcznym.

Łamał ręce Jagiełło, nie wiedząc, co począć, a czując, iż sam winien był, powolnością swą Świdrygiełłę uzuchwaliwszy w początku. Oleśnicki i inni codzień mu to wyrzucali.

Na jedną z tych chwil goryczy i utyskiwań weszła królowa. Dała naprzód mężowi żale rozwodzić i narzekać długo, potem gdy bezradny żalił się na dolę swą, mówić poczęła:

— Radzić potrzeba na to, dopóki czas, bo dalej trudno będzie. Słuchajcie mnie tylko: jako niewieście, samej mi do tych spraw mieszać się nie przystało, uczyńcie wy, co doradzę, nie mówiąc, że to macie ode mnie...

— Radź — zawołał król, zwracając się do niej — aby skutecznie.

— Świdrygiełło bratem ci jest — rzekła królowa ale takim, jakim Kain Ablowi był. Gdyby się nie obawiał pomsty, kto wie czy z Wilna byłby cię z życiem puścił. Nie chce on Litwy z rąk twoich dzierżyć i być tobie podległym, choćby nawet tyle, o ile Witold był, choć i ten się z lenności wyłamywał... Zrzucić go musisz, a innego na miejsce postawić.

— Ale ja mu pierścień dał i uczyniłem go wielkim księciem!

— Tak samo mu to, coś dał, odebrać możesz...

— A jakże dokazać tego? — zawołał Jagiełło — Wszystko w ręku trzyma, Ruś z nim cała... Zamki opanował wszystkie... Wojnę bym prowadzić musiał.

— I bez wojny się go pozbędziesz — mówiła królowa ciszej. Dosyć skinąć na Zygmunta Kiejstutowicza, ten znajdzie chwilę sposobną i Świdrygiełłę pochwyci lub wyżenie. Siemion, stryj mój, pośrednikiem będzie najlepszym w sprawie... Witoldów brat, człek spokojny, trzeźwy, poważny, a winien ci będąc księstwo, nie powstanie przeciw tobie... On i na Rusi przjaciół ma, Świdrygiełłę obali łatwo... Skiń nań tylko...

Słuchając, król zadumał się głęboko.

— Rozum masz, kobieto moja — odezwał się po namyśle. Rada twoja dobra, ale bez Zbyszka nic, jemu to powiedzieć potrzeba...

— Sam mu to mów — przerwała królowa. — Nie moja rzecz się w to mieszać. Mówić i działać wy musicie. Niewieście nie przystało do spraw państwa się wtrącać, bo nieprzyjaciół i zazdrosnych sobie przyczynia, a tych i tak jest dosyć. Nawet, gdy co chce uczynić, musi przez innych... Niechaj mnie w tem nie widzi nikt, ani wie, że wszystko ode mnie...

— A Siemiona ty jesteś pewna? — zapytał król.

— A któż go skłonił, aby on do Świdrygiełły jechał do Wilna? — odezwała się Sonka, z uśmieszkiem, w którym duma się przebijała. — Ja się przecie sama musiała starać o to, ale tak, aby nikt o mnie nie wiedział.

Jagiełło zmilczał.

Nazajutrz już na radzie potajemnie o Zygmuncie mówiono. Za nim było to właśnie, co od innego odstręczało. Nie znał go bliżej nikt, niewiele o nim słyszano, tak przez czas rządów Witoldowych spokojnie

na swej dzielnicy gospodarzył, nie dobijając się o nic więcej nad to, co mu dano...

I nie bez słuszności powiadano o nim to, cośmy już powtórzyli, że z Mazowieckiemi księżniczkami się żeniąc, Mazowieckich książąt przyjął obyczaje, swojej ziemi strzegł, o cudze się nie kusząc, aby pokoju zażywał...

Zbyszek biskup i wielu senatorów za nim było, choć wprzódyby pewnie na niego nie głosowali, aby spadek po bracie nie zdawał się dziedzictwem.

Zrażało tylko wielu, że z Kiejstutowiczem potajemnie się umawiać było potrzeba i przywłaszczyciela pozbywać się cichaczem, zdradą. Do tego stryj królowej, Siemion, na rękę był, jako pośrednik.

Musiano zgodzić się na to, aby Świdrygiełłę w jakikolwiek sposób obalić i wygnać.

Pierwszą wzmiankę o Zygmuncie Kiejstutowiczu sam Jagiełło uczynił, lecz dla tych, co go znali, było jawnem, że myśli tej sam z siebie nie wziął, bo niewdzięcznego Świdrygiełłę kochał zawsze, słabość do niego miał i nawet zrzucić go zamierzając, pomrukiwał, że mu coś na Rusi wydzielić przyjdzie. Zbigniew Oleśnicki, a z nim inni, odgadli w tem radę królowej. Przyjęto myśl, a choć dobrą była, że od Sonki wyszła, o wpływie jej świadczyła, wielu ku niej źle uspokoiła

Nieprzyjaciele rośli razem z potęgą i wpływem, który codzień sobie jednała. Nie była to już bojaźliwa pirwszych dni Sonka i ludzi nieświadoma, pośród których żyć miała, ale niewiasta nieszczęściami i cierpieniami wypróbowana, zahartowana walką, silnej woli matka, stojąca u kolebki swych synów, o prawa ich troskliwa.

Potwarze, broń zazdrosnych, lały się nad odważną niewiastą ze stron wszystkich, pozory chwytając wszelkie, jak czasu burzy potoki płyną wszelkiemi norami i rozpadlinami, wyrywając ziemię i nowe sobie torując drogi.

Korybut i czescy husyci, którzy do Krakowa na rozprawę o prawdzie chrześcijańskiej przybyli, zgromieni i wygnani przez Oleśnickiego, w mniemaniu niechętnych, Sonkę mieli za potajemną opiekunkę i doradczynię.

Gdy Jagiełło zwłóczył z wystąpieniem i wyprawą przeciwko Świdrygielle, dla odebrania Wołynia, nie świadomi tego, co królowa czyniła, jej przypisywali, że się ociągał, choć ona Zygmunta popierała.

Był to rok wojen i klęsk, bo w pomoc oszalałemu Świdrygielle rzucili się wszyscy Polski nieprzyjaciele. Zniszczenie, pożary, mordy i łupieże szerzyły się dokoła.

Król stary wojował na Rusi, Sonka sama jedna czuwała w Krakowie. Kielicha goryczy, który jej był przeznaczonym, do dna jeszcze nie dopiła.

Na tym samym zamku królewskim, obok dzieci Sonki, chowała się Jadwiga, owa wnuczka Kaźmierzowa, na którą oczy wszystkich, Piastom jeszcze sprzyjających, były zwrócone.

Pomimo dobroci serca i rorzutności, Jagiełło serc sobie wszystkich kupić nie mógł. Po kilkudziesięciu latach panowania, widziano w nim zawsze obcego przywłaszczyciela... Pocichu dotąd niektórzy poganinem go zwali, królowę przezywano Rusinką, tęskniono za Piastami zniedołężniałymi. Winy Witolda, Korybuta, Świdrygiełły rzucano na ramiona starego króla, a z nich część na królowę spływała.

Ciekawie, zdala, skrycie spoglądano na ten kątek zamkowy, w którym, jak zakonnica, odosobniona, tęskne dni spędzała królewna Jadwiga. Pokładano ciche na niej nadzieje, że kroplę krwi Piastów na tron miała przywrócić...

Sonka miała dwóch synów i mogła się spodziewać, że korona na kądziel nie zejdzie. Posądzano ją więc... o nienawiść, o pragnienie pozbycia się Jadwigi, która też do tronu miała prawa.

Nowa potwarz miała karm gotową. Gdy król wybierał się jeszcze na Litwę i przejazdem był w Krakowie, spojrzawszy na swą starszą, znajdując ją smutną i bladą, pytał niespokojny co jej było?

Starsze panie, jej piastunki, dwór, spuszczały oczy, nie chcąc i nie umiejąc odpowiedzieć... Szeptali, że chorą była.

Wezwany mistrz Henryk, popatrzywszy na królewnę, zawyrokował, że to była choroba młodości, z której sam wiek ją uleczy. Wzrost nagły wycieńczył królewnę, dojrzewanie wyczerpało.

Ale stare kumoszki i złośliwe baby sądziły inaczej. Gdy królewna blednąć zaczęła, rumieńce gasnąć, kaszel suchy z piersi się dobywać, szeptały do uszu sobie:

— Otruta!

Ten wyraz na wiatr wyrzeczony przez złośliwe usta, z potwarzy nazajutrz stał się prawdą, pewnością, dowiedzioną rzeczy.

Gdy słabość Jadwigi coraz jawniejszą być poczęła, wymyśliły sługi, że w przytomności narzeczonego jej, małego Fryderyka, po wypiciu czegoś dostała mdłości, a potem zaraz poczęła się ta nieuleczalna choroba. I... ciągnęła się rok cały... co najlepiej dowodzi, że ta nikczemna potwarz głupim była wymysłem.

Jakby dla przedłużenia męczarni, choroba królewnej przewlokła się przez rok cały, a były w ciągu niego chwile złudzenia i nadziei, zdające się zwiastować ocalenie.

Ale te ostatnie prądy sił młodych przepływały prędko i uchodziły. Bladła znów królewna, kaszlała i słabła. Trwoga wracała, łzy ukrywane, modlitwy potajemne, przeczucia złowrogie.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Kochaj swój naród.

Kochaj swój naród, kochaj mimo wstrętu,
I mimo grzechów, i wad i słabości,
Kochaj, chociaż mu brak doskonałości,
Mimo szumowin i brudu i mętu.

Nikt pewno więcej nie brzydził się złością,
Nikt pewno nie był wyższym ponad tłumy,
Nikt nie miał prawa takiego do dumy,
Jako Bóg-Człowiek a jednak z miłością

Objął on wszystkich, i małych i wielkich,
I złych i dobrych przytulił do łona,
I wszystkim z krzyża podał On ramiona,
Jako Zbawiciel i Ojciec dusz wszelkich.

Więc kochaj naród! Stop w ogniu miłości
Własne i cudze winy i urazy,
I mimo drobne przywary i skazy,
Stań się ofiarą dla dobra Polskości.

Kochaj! Im mniej tej miłości na świecie,
Im większe lody piętrzą się dokoła
Im szatan głośniej — precz z miłością woła
Chrystus miłością zwyciężył świat przecie.

Alfred Stalin.

ALBANJA I ALBAŃCZYCY.



Głośny jest obecnie w świecie konflikt pomiędzy Albanją a Jugosławją. Niejeden zapewne jest ciekawy, co jest tego powodem. Aby to wyjaśnić, należy się cofnąć nieco w niezbyt daleką przeszłość. Otóż do roku 1912 większą część półwyspu Bałkańskiego zajmowała Turcja, resztę zaś Bułgarja, Grecja i Serbja oraz maleńka Czarnogóra. Cztery te ostatnie państwa wystąpiły wówczas przeciw Turcji, pokonały ją i podzieliły niemal cały półwysep Bałkański pomiędzy siebie. Powiększyły się wszystkie, ale nie zabrały całego półwyspu dla siebie, gdyż mały skrawek ziemi na wschodzie pozostał przy Turcji, a zachodnią jego część nad morzem Adrjatyckiem pozostawiono, jako niezawisłe państwo. Była to Albanja, zamieszkała przez potomków starożytnego rodu Illyrów.

Chociaż kraj to bardzo biedny, bo nadzwyczaj górzysty, a więc nieurodzajny, przecież byli na niego amatorowie, a w pierwszym rzędzie sąsiednia Serbja i Włochy, położone po drugiej stronie morza Adrjatyckiego. Serbja nie chciała tam puścić nikogo obcego ze względu na dostęp do morza, Włochy natomiast pragnęły się usadowić po drugiej stronie Adrjatyku, aby go mieć niepodzielnie w swem posiadaniu.

Lecz przed wielką wojną ani Serbja, ani Włochy nie mogły się pokusić o zajęcie tego kraju, gdyż miały na północy groźnego przeciwnika, jakim była monarchja austro-węgierska. Wojna europejska zmieniła jednak sytuację. Monarchja austrjacko-węgierska rozpadła się, a jej kosztem wzbogaciły się Włochy, a jeszcze bardziej Serbja, która teraz przybrała nazwę Jugosławji. Dwaj współzawodnicy o Albanję pozostali sami, nie mając w pobliżu nikogo, ktoby im w ich zamiarach mógł przeszkadzać. Ale w czasach, gdy wszyscy na ustach mają pokój, gdy w Genewie nad tym pokojem czuwa Liga Narodów, trudno im jest obecnie jawnie wystąpić z swoimi zamiarami. Ani jedna, ani druga strona nie wie bowiem, coby na to powiedziała owa Liga Narodów. Wobec tego Włochy rozpoczęły walkę podjazdową, ofiarując swą „gorącą" przyjaźń Albanji, aby ją w ten sposób na swą stronę przeciągnąć. Drażni to w wysokim stopniu Jugosławję, lecz zaprotestować przeciw temu nie może, bo przecież Albanja jest niezawisłą, więc wolno jej przyjaźnić się z kim zechce. Gdzie jednak może, przeciwdziała wpływom włoskim i na tem tle przychodzi często nietylko do starć dyplomatycznych, ale również niejednokrotnie do starć zbrojnych na granicy.

A wiedzieć trzeba, że Albańczycy to naród dzielny i bitny, a przytem bardzo zawzięty Walkę ułatwiają im niedostępne góry, w których łatwo mogą zadawać przeciwnikowi dotkiwe ciosy, nie ponosząc sami żadnego uszczerbku.

Na naszym obrazku widzimy właśnie garść uzbrojonych Albańczyków, rozłożonych wśród niedostępnych gór, a czekających na stosowną chwilę, aby jak orły spaść z nich na karki Jugosłowjan i krwi im trochę upuścić. Nie jest to oczywiście walka regularna, ale ciągłe drażnienie i nękanie przeciwnika.

Czy Albanja długo zachowa niepodległość, wątpić należy, ale dziś korzysta z zawiści dwóch swoich sąsiadów i cieszy się dość względną swobodą.

Wmówić coś w kogoś, o, to łatwy sposób!
I wzniecić pożar w sercu, to nie sztuka,
Lecz to robota tylko podłych osób,
Bo człek uczciwy nigdy nie oszuka.

A. St. B.



Maciek Bzdura gada:

Nas prefesur to okrutecny poeta. Nietylko štyry wirse umi na pamięć, ale jeden nawet próbował napisać, ale się mu nie udał, bo choć to wszyćko; co w środku zgadzało mu się, to ani rus nie mógł dobrać samego końca. Składał i składał bez štyry niedziele, smarował po papierze, targał i palił w piecu, a potem zacynał znowu na nowo.

Pokazywał mi jeden taki zacęty wirs, a cytoł sie tak:

W moje serce miłości pierun trzas
Więc rozgorzało, jak w piecu chlib...

Co się jednak namozolił, aby do tych słów: „trzas" i „chlib" dobrać podobne, tegoby ani opisać nikt nie potrafił.

Zdawało się mu jednak, że jest poetą i sam przedewszystkiem wierzył w to święcie. To tez jak mieli przywieźć z Paryza do Krakowa Słowackiego, pada do mnie:

— Wies Maciek co? W poniedziałek i we wtorek będą chowali w Krakowie mojego kolegę, mozebyśmy się tak przejechali oba?

— Jak to bez dwa dni bedą chowali?

— Ocywiście, ze dwa dni! Takiego ciemięgę, jak ty, to i za štyry minuty pochowają, ale takich ludzi, jak Słowacki, abo ja, to i za dwa dni nie bardzo dadzą rady.

Ano, myślę se, jak jechać, to jechać. Jescem od wojny w Krakowie nie był, to przecie zuźre, jak tam jest i co tam jest. A moze się i jaka kubita trafi, to przecie to zawse lepse będzie, jak wsiowe. I pojechaliśmy.

Jakby kto myślał, ze Kraków wiele sie od wojny odmienił, toby sie bardzo mylił: te same kamienice, tosamo błoto i tesame zydy. Ino dzieuchy inksiejse. Tamte przedwojenne były dłuzse i od góry i od dołu, a te teraźniejse tak sie na wszyćkie strony skróciły, ze az okropa na nie patrzyć. A jest ich tyle w Krakowie, ze sie w chałupach pomieścić nie mogą, ale bez cały dzień wietrzą się to na ulicach, to na plantach, a tyle tego tałatajstwa, ze ani przejść trudno. A jesce i to się zmieniło po wojnie, ze teraźniejse miastowe dzieuchy okrutecnie śmiałe.

We wtorek po pogrzebie jakosik sie tak zrobiło, ze nas prefesur posed na prawo, a ja na lewo. Ide se plantami, a tu jedna taka lafirynda przystępuje do mnie i pada:

— Obywatelu! skądeśta?

— Z Psi Wólki. A obywatelka z pod którego numeru?

— Z pod którego? No niby usłoby. Ale ino w tem bida, ze ja nie mieskam sama, ino z narzeconem. Ale mozebymy tak do Michalika?

— A no niech bedzie — powiadam, bom se zaraz spenetrował, ze to bedzie jakiesik karcmisko, to sie cłek krztynke posili, bo mi wandziuch juz okutecnie Weni kreatur śpiwał.

Idziemy tedy do owego Michalika, a u Michalika na takich šklanych miseckach tyle pierników, ze ani ucho ludzkie nie widziało, ani oko nie słysało. Jak to zuźrała moja panienka, tak powiada:

— Obywatelu, cy mozna?

Skąd ja niby miałem wiedzieć, cy mozna, cy ni mozna. Padam jej więc:

— Niech sie obywatelka spyta tego pajaca w biały spódnicy, to on chyba pewnikiem wie.

Ale nie trza się było nawet pytać, bo owe chłopacysko w ocymieniu štyry pierniki nawalił na talirz i postawił na stoliku. Strapiłem sie strasecnie, bo mi prefesur juz powiedział, ze w Krakowie jesce bardziej z człowieka skóre zdzierają, niz hycel ze psa, ale se myśle, ze moja towarzyska nie smok, to wszyćkich ciastek nie zezre, ale sie jednem zadowoli, a na tyle jesce mi moze pieniądzów wystarcy.

Ale ona wepchała jedno, wepchała drugie i do trzeciego sie zabira. Myśle se: źle i sięgam do kapciuska, aby grajcary porachować i odrazu się pytam: po ile to?

— Po dwadzieścia pięć grosików — pada ten pajac w biały spódnicy.

Porachowałem moje drobiazgi i akuratnie było ich trzy razy po dwadzieścia pięć. Ho, ho — myślę se — nie głupim, trzeba teraz uwazać. I gdy moja panienka wyciągała gical po cwarte ciastko, tak ja ją łap za rękę i padam:

— Obywatelko! Bedzie dość, bo cie niestrawność chyci i ani ci krajsbabka nie pomoze!

Chciała mi obywatelka wydrzyć swoją garść z mojej, ale nie dała rady mikrota, Wysypałem grose na stół, wziął za łape towarzyske i wyprowadziwsy ją za drzwi, juz sie więcej na nią nie popatrzyłem.

No i powiedzcie mi, cy byłaby to przed wojną jakakolwiek dziopa na świecie zrobiła. A i dziś, cyby którakolwiek wsiowa dzieucha puściła sie na takie beštefranty? Nigdy, przenigdy. Ale powojenne panny, a scególniej w mieście, juz sie tak na sobie samych naucyły obskubywać, ze i jak porzomnego cłeka spotkają, to go chcą do imienia obskubać.

Wieś.

Zakochałem się we wsi zbliska i zdaleka,
Nad której zielonością słońce płynie złotem —
Że serce do niej zawsze wzdycha i ucieka,
I trudno mi je później wynieść z wioski potem.

Gaje senne, skrzydlate, szumią mi błękitnie,
Wierzby, grusze, jabłonie bielą wiosny czarem...
I tak mocno w niej serce moje Bogiem kwitnie,
Póki wioską oddycha, jej życiem i gwarem.

Ciągnie mnie do niej słońce, śmieje się i wzywa —
I oczy domów białych stojąco przy ścieżkach,
I pieśń żniwiarska, miła, napoły szczęśliwa,
I niedola głęboka, co w tych ludziach mieszka.

Kocham wieś, jak pachnące, pokoszone siano
Zostawione przez chłopa na strzyżonej łące...
I te dalekie łany szumne, roześmiane,
W które się wkrada złote, wędrujące słońce.

Dajcie mi szczęście wielkie jako oceany,
Abym mógł niem szafować ile chcę, dowoli!
Rzucę je na wieś polską, ten świat ukochany,
Niechże się cieszy szczęściem, zapomni o doli!...

Dziś tylko wieś mi śpiewa — przejasna zagroda
O prawdzie niefałszywej, o miłości bożej;
O, niechże Bóg ją strzeże, rękę wiosce poda,
I w tej prawdzie na wieki świetlane ją mnoży!

Fr. Lipiński.

Wśród puszcz i stepów.

(Ciąg dalszy).

Noc była ciemna, burzliwa i słotna; stary nasz znajomy uzbrojony wedle zwyczaju indyjskiego w nóż i tomahawk, przechadzał się dokoła chaty, w której przebywał wódz Osagów, zawsze od stóp do głowy skrępowany. Tobiasz nigdy jeszcze dotychczas nie odważył się do niego przystąpić lub przemówić choć jednem słowem. Tej nocy postanowił zdobyć się na to. Najpierw z wielką uwagą oglądał się dokoła i słuch



Wódz Osagów przy palu.

wytężał, a przekonawszy się, że cała osada we śnie jest pogrążona, zbliżył się cicho i ostrożnie do otworu, zastępującego drzwi w chatce.

— Czy wódz Osagów nie śpi? — zapytał ledwo dosłyszalnym głosem.

— Nie — odszepnął tamten niemniej cicho.

— Wódz ma przy sobie przyjaciela, niech tylko stara się zachować jaknajspokojniej i słucha.

— Cóż to za przyjaciel?

— Biały człowiek, który razem z Ellą, córką osadnika, dostał się do niewoli.

— Ten sam, co psom Pawnisom pomaga strzec jeńców — szepnął wódz.

— On to czyni dlatego, żeby Orła czubatego uratować.

— Hug! — ozwał się tamten półgłosem.

— Trzeba teraz się naradzić — mówił znów Tobiasz — jakim sposobem mógłbym dopomóc wodzowi do ucieczki.

— A gdzież jest blada dziewczyna?

— W osadzie Jelenia wrzącego.

— Zawsze w niewoli?

— Tak, sądzę jednak, że Jeleń nie da jej krzywdy wyrządzić.

— Ale jest niewolnicą tych psów Pawnisów... jakimże sposobem brat mój myśli ratować Orła czubatego?

— Zdaje mi się, że mam niezły pomysł.

— Niech brat mój mówi.

—Przetnę natychmiast więzy wodza i razem stąd umkniemy. Noc ciemna, śpią wszyscy...

— A Ella? Oni się pomszczą na niej.

— Jeleń ją obroni.

— Nie obroni jej, choćby chciał nawet.

— Dlaczegoż wódz tak sądzi?

— Tygrys zębaty będzie się wściekał, gdy śmiertelny wróg mu się wymknie. Ella odpowie za nas obu. Jeleń będzie musiał chyba krwawą walkę stoczyć, by nie dopuścić do tego; na to znów ojciec Jelenia nie pozwoli, — uzna on zemstę Tygrysa za sprawiedliwą.

— Orzeł czubaty ma słuszność. Stary głupiec ze mnie, żem tego sam nie zrozumiał. Orzeł czubaty ma serce najzacniejsze i najszlachetniejsze w świecie; woli zginąć okrutną śmiercią, aniżeli panienkę narazić na niebezpieczeństwo.

— Czy brat mój nie słyszał, kiedy los Orła czubatego ma się spełnić?

— Podczas wesela Jelenia wrzącego.

— A kiedyż to wesele ma się odbyć?

— Za parę tygodni.

— Orzeł czubaty szydzi ze swych nieprzyjaciół.

— Piękne to bardzo, ale oni go dlatego zamordują.

— Nim wilki pożrą Orła, jaguar wilki porozdziera.

— Cóż to ma znaczyć? Czyżby wódz miał jakie nadzieje? W takim razie powinienby mi te rzeczy jaśniej wyłożyć.

— Czy brat mój pewny, że nas nikt nie podsłucha, że żadnego z tych psów Pawnisów niema w pobliżu?

— Ależ niema z pewnością.

— A więc niech brat mój się dowie — mówił Orzeł czubaty tak cichym głosem, że Tobiasz ledwo go dosłyszeć zdołał — przyjaciele są blisko.

— Ach, to doskonale! Iluż ich jest?

— Tymczasem trzech tylko.

— Cóż może trzech ludzi uczynić przeciw takiej sile?

— Będzie ich wkrótce więcej, paruset zapewne.

— To byłoby już lepiej, chociaż i paręset niełatwo da radę tej niezliczonej zgrai Pawnisów. Ale skąd u Pana Boga, mógł wódz się o tem dowiedzieć?

— Jeden z tych trzech przyjaciół doniósł sam o wszystkiem Orłowi czubatemu.

— Co, tu, w obozie Pawnisów? To niepodobieństwo, Orzeł czubaty żartuje sobie ze mnie.

— Orzeł czubaty nie ma zwyczaju żartować! Otrzymał on te wieści kilka dni temu, wówczas, gdy brat mój stał także na straży przy tej chatce.

— Czy to być może?

— Brat mój ani spostrzegł, gdy przyjaciel do chatki się wśliznął.

— Nie, nie, ja temu uwierzyć nie mogę, wódz Osagów żarty sobie ze mnie stroi.

— A jednak tak było. Ale niech mój brat nie dziwi się temu zbytecznie, ten, który go w pole wyprowadził, zręczniejszy jest i przebieglejszy od wielu Indjan.

— Któż to taki? jak się nazywa?

— Serce prawe.

— Serce prawe? Ten znakomity myśliwiec, o którym takie nadzwyczajne rzeczy opowiadają?

— Ten sam. Zaraz pierwszej nocy, która nastąpiła po dniu naszego tu przybycia, Orzeł czubaty dowiedział się, że przyjaciel jego jest bardzo blisko.

— To rzecz niesłychana! trudna do uwierzenia.

— Najpierw trzy razy w krótkich odstępach czasu odezwało się z lasu gruchanie dzikiego gołębia. Orzeł czubaty dowiedział się tym sposobem, że najlepszy przyjaciel jego, takim bowiem jest mu Serce prawe, znajduje się w pobliżu i czuwa nad nim.

— Ale wódz wspomniał o trzech przyjaciołach; któż są dwaj inni?

— Ojciec i starszy brat Ellli.

— O mój Boże, co za szczęście! — wykrzyknął stary sługa uradowany, głośniej nieco niż należało.

— Brat mój jest nieostrożny — przestrzegał Orzeł czubaty.

— To prawda, zapomniałem się — mówił Tobiasz znów ciszej — już to podobno dosyć będzie na dziś tej rozmowy. O jedno tylko jeszcze muszą zapytać: co ten myśliwiec Serce prawe doniósł wodzowi?

— Że kilku wojowników pospieszyło do siedlisk Osagów, aby dać znać o uwięzieniu wodza, zapewne też przybędą mu na ratunek.

— Daj to Boże! A czy oni prędko mogą tu przybyć?

— Słońce musi jeszcze po wiele razy zanurzyć się w wielkiej wodzie, nim Osagowie się zbiorą i daleką drogę odbędą.

— Niestety! a tu wesele Jelenia wrzącego ma już niezadługo się odbyć.

— Wielki duch wszystko na dobre zwróci — rzekł spokojnie Orzeł czubaty. — Osagowie się nie spóźnią, mają rącze konie, Serce prawe zalecił im pośpiech jak największy.

— Ja jednak w najokropniejszej trwodze czekać będę dnia wesela.

— Orzeł czubaty jest spokojny, Serce prawe czuwa nad nim.

— Wódz pokłada widocznie pewną ufność w tym myśliwcu?

— Ufność bez granic. Przyjaciel mój jest odważny, mądry, posiada siłę olbrzyma. Czyżby zwyczajny człowiek potrafił zakraść się do obozu Pawnisów?

— To prawda. Dotąd nie pojmuję, jak on mógł tej sztuki dokazać. A pomimo to wszystko, cóż zdoła jeden człowiek uczynić przeciw takiej liczbie?

— Mój brat nie ma podobno zbyt odważnego serca...

— Pst! na miły Bóg, ktoś idzie — szepnął Tobiasz i śpiesznie wyszedł z chatki.

Ujrzał w rzeczy samej zbliżającego się wolnym krokiem Indjanina. Był to Tygrys zębaty, który co noc prawie, a zwłaszcza, gdy Tobiasz stał na straży, zaglądał do swojego jeńca w obawie, aby nie umknął. Obaczywszy wartę na swojem miejscu, odszedł spokojnie dalej. Tobiasz chodził przez jakiś czas naokoło chatki, wreszcie upewniwszy się, jak sądził, że Tygrys zębaty spać się położył, znowu poszedł pocichu do jeńca.

— Kto wie, czy będę miał drugi raz taką dobrą sposobność do rozmowy z wodzem — rzekł — przyszedłem więc jeszcze na chwilę, może Orzeł czubaty ma mi co do polecenia.

— Mój brat jest nadzwyczaj nieroztropny — odrzekł wódz Osagów. — Jeżeli Tygrys zębaty powziął choćby najlżejsze podejrzenie, musi go teraz szpiegować.

— Orzeł czubaty może być spokojny. Tygrys zębaty ani myśli o tem; widziałem doskonale, jak wszedł do swojej chaty i teraz pewnie już chrapie. Nie jestem przecież ślepy.

— Blady człowiek jest ślepy i nikczemny! — odezwał się w tej chwili za plecami śmiertelnie przerażonego Tobiasza głos przyciszony, lecz drżący z wściekłości Tygrysa; chwycił on jednocześnie biedaka za kołnierz i jednem pchnięciem powalił na ziemię. Wnet zjawiło się czterech Indjan i skrępowano mu ręce i nogi.

— Tak to blady człowiek postępuje z Pawnisami, którzy mu zawierzyli i przyjęli za brata? — mówił Tygrys zębaty do nieszczęśliwego Tobiasza — bladzi ludzie są ślepi, głusi i głupi, jak indyki i równie łatwo dają się w pole wyprowadzić. Blady człowiek wyobrażał sobie, że nikt nad nim nie czuwa, że zdrada jego się ukryje. Mylił się bardzo i kara śmierci teraz go nie minie. Pilnować mi dobrze tego nędznika!

Dwaj Indjanie odprowadzili nieprzytomnego prawie ze strachu i zmartwienia Tobiasza, dwaj inni pozostali na straży przy Orle czubatym. Tygrys polecił, aby odtąd strzegła go straż podwójna. Sam zaś nim odszedł, rzekł jeszcze do jeńca z jadowitym uśmiechem:

— Wódz Osagów obawia się śmierci, jak stara kobieta. Ogląda się na wszystkie strony za ratunkiem i straże namawia do zdrady. Ale Tygrys zębaty czuwa dobrze; chciał wypróbować bladą twarz i dlatego ją postawił na straży. Wódz Osagów powinien był to odgadnąć, cóż, kiedy Orzeł czubaty jest głupi i łatwowierny, jak stara kobieta.

I odszedł śpiesznie, nie czekając odpowiedzi.

Tobiasza następnego rana odesłano napowrót do wioski, gdzie wodzem był ojciec Jelenia wrzącego. Ella strasznie się zmartwiła, gdy cała ta przygoda doszła do jej uszu. Ale napróżno błagała o łaskę dla starego sługi; Indjanie byli srogo obrażeni tą zdradą i Jeleń wrzący ją upewnił, że gdyby chciał nawet, nie mógłby teraz od śmierci uratować winnego. Wyrok był nieodwołalny: biedny Tobiasz miał zginąć razem z Orłem czubatym podczas wesela Jelenia ze Stokrotką.

Upłynęło znowu parę tygodni i nadszedł wreszcie z taką trwogą oczekiwany dzień uroczystości weselnej. Od samego rana w chacie i przed chatą Ludowika, przybranego ojca Stokrotki polnej, zbierać się zaczęli krewni narzeczonej i narzeczonego. Ella musiała także być obecną, chociaż nie mogła się dostroić do ogólnej radości. Na bladej twarzyczce dziewczyny malowała się boleść głęboka; oczy jej niespokojnie spoglądały w stronę lasu, jakby stamtąd ratunku czekała. Wiedziała, że ojciec i brat jej wraz z wojownikami Orła czubatego mieli pośpieszyć do siedlisk Osagów, lecz czemuż pomoc tak się opóźniała? Gdybyż przybyli póki czas jeszcze, choćby w ostatniej godzinie! Dziewczyna gorąco błagała o to Boga w głębi du-

Gdy wszyscy goście weselni się zebrali, rozpoczęła się właściwa uroczystość ślubna. Jeleń wrzący, dziś po raz pierwszy przybrany w oznaki wodza, podszedł poważnym krokiem do Stokrotki polnej, wziął ją za prawą rękę i wyprowadził na środek murawy, dokoła której siedzieli Indjanie. Wśród uroczystego milczenia pan młody zaczął mówić o szczerem swojem przywiązaniu do Stokrotki, a mówił to wszystko głosem wzruszonym i pełnym uczucia. Potem przyrzekł solennie wybraną swoją opiekować się, bronić jej przeciw nieprzyjaciołom i własną piersią osłaniać przed niebezpieczeństwem, oraz zawsze o tem pamiętać, aby miała obfitość zwierzyny, aby nigdy nie zaznała niedostatku. Nakoniec podał Stokrotce w darze piękny naszyjnik z kolorowych paciorków.

Teraz z kolei podniosła głos panna młoda. W wyrazach kwiecistych i wyszukanych przyrzekała sobie spełniać pilnie i gorliwie obowiązki gospodyni domu, uprawiać ziemię, zasiewać i zbierać zboże, nie zaniedbywać rozmaitych robót, należących do kobiety. Na zakończenie ofiarowała Jeleniowi nóż myśliwski. Najbliżsi krewni pierwsi składali młodej parze powinszowania i życzenia szczęścia, następnie zbliżali się inni z kolei; oni zaś wszystkim dziękowali serdecznie. Ceremonja była skończona; rozpoczęła się biesiada, która jednak nie trwała długo. Spożywszy prędko mięso pieczone i gotowane, placki z kukurydzy i inne przysmaki, całe zgromadzenie wyruszyło na wielki plac, gdzie się miało odbyć okrutne widowisko, — wykonanie wyroku śmierci na dwóch nieszczęśliwych jeńcach.

Plac ten znajdował się pod lasem. W samym jego środku wznosiły się wbite w ziemię dwa mocne pale, czarno pomalowane, przy których leżały plecionki rzemienne. Cała ludność tłoczyła się na placu, otaczając dokoła pale, przy których pozostawiono miejsce wolne. Byli tam i starcy, i kobiety, i dzieci, i wojownicy uzbrojeni jak do boju. Ella pokonała straszliwe wzruszenie i, przecisnąwszy się w towarzystwie panny młodej i innych dziewcząt indyjskich przez tłum, stanęła blisko złowrogich palów. Chociaż krew stygła w jej żyłach na samą myśl tak okropnego widowiska, jednak z drugiej strony nieokreślone jakieś uczucie ją tam ciągnęło, i jakiś głos tajemny mówił w duszy, że jej obecność mogła się na coś przydać nieszczęśliwym skazańcom. Dziewczyna posiadała odwagę i moc ducha niepospolitą, zapanowała więc i teraz nad trwogą i wytrwała w postanowieniu.

Wkrótce ukazał się na placu wódz Osagów. Ella nie widziała go od chwili, gdy z nim przybyła do siedlisk Pawnisów; zmiana, którą spostrzegła w jego powierzchowności, boleśnie ją dotknęła. Twarz wychudła, oczy głęboko zapadłe, świadczyły aż nadto, jak okrutnie nielitościwi nieprzyjaciele obchodzić się z nim musieli w więzieniu. A jdnak i teraz postawa jego była śmiała i dumna, głowa podniesiona wysoko, oczy spoglądały spokojnie dokoła. Ręce miał związane na plecach, pomimo to otaczała go gromadka wojowników uzbrojonych. Tuż za nim postępował Tygrys zębaty; chociaż usiłował nadać swej twarzy wyraz spokojny i uroczysty, znać było na niej złośliwą wstrętną radość.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Król lasu i królewna Ska.

Już dawno, bardzo dawno temu, w okolicy Baraniej Góry, na szczycie najwyższym był piękny zamek, króla powietrza. Ten to król miał córkę cudnej urody i anielskiej dobroci. Gdy król wyjeżdżał w świat, zakazywał surowo córce, ażeby ani krokiem bez jego wiedzy nie oddalała się z zamku. Królewna posłuszna rozkazowi ojca, długie lata spędzała w samotych komnatach, które lśniły od drogich kamieni, rubinów i złota. Królewna z każdym dniem stawała się smutniejszą, tęskniła a nie wiedziała za czem. Nie znała nic oprócz swych komnat, bo tam za chmurami na skale cóż mogła ujrzeć.

Razu jednego, gdy król odjechał daleko, bo aż za morza, królewna, korzystając z nieobecności ojca, wyszła za bramy zamku, spiesznie posuwała się w stronę północną, coraz niżej, aż zobaczyła las.

— Tam pójdę do tego kraju, to coś nadzwyczajnego.

Skierowała swe kroki w stronę lasu. Aż krzyknęła z podziwu. Oto ujrzała to, czego na szczycie góry nigdy nie widziała. Rozmaite gromady ptaszków, krążyły nad lasem i pięknie śpiewały. Wysmukłe jodły wystrzelały wierzchołkami swemi nad cały las. Śliczne kwiaty woniejące, dzwoniły i połśniewały w słońcu, kropelkami rosy. Dzięcioł, jak kowal, stukał w sosny, a głos automatyczny rozchodził się po całym lesie. Zielone trawki kołysały się. Śliczne rogacze i sarenki, biegały jak strzały, to znów stawały i skubały bujną trawkę. Pszczółki brzęczały i latały z kwiatka na kwiatek. Królewna stała nie mogąc pojąć, co to jest, czy to może niebo, o którem ojciec nieraz opowiadał.

— O jak tu ślicznie, jak miło, ja tu chcę żyć.

I tak idąc coraz dalej w las, coraz nowe cuda przyrody odnajdywała. Znalazła dużo jagód, któremi się pożywiła, bo była już zgłodniała.

— O, co za smak i zapach mają te czerwone jagódki, jeszcze jak żyję, nie jadłam tak wspaniałych rzeczy. Ciekawa jestem, kto jest królem tego kraju?

I tak dumając, usiadła na jednym pniu drzewa.

— O jak tu dobrze i słodko. Ale muszę już wracać; słońce na zachodzie, czas do domu . Ale jak słabo mi, nie ruszę się z miejsca. Spać, spać mi się chce!

Aż echo odbiło to wołanie. Lekko zesunęła się na zielony mech i usnęła. Przechodząc tamtędy król lasów tatrzańskich, a zobaczywszy śpiącą dziewicę, stanął z podziwu, skąd się wzięła tu w środku lasu? Przecież tu jeszcze ludzka noga nie stanęła. O jaka piękna! To musi być jakaś królewna! Poznaję po szatach. Nie odejdę stąd, będę czekał, aż się obudzi, tu tyle zwierza dzikiego, mogłoby się jej stać coś złego.

Już księżyc wypłynął wysoko na niebo, a królewna się nie obudziła.

— O jaka noc cudowna, cicha i błoga, nie pamiętam takiej, wszystko śpi snem błogiem, jeno ja czuwam nad nią, a nie wiem, kto ona.

Obudziła się Ska, a zobaczywszy przy sobie mężczyznę pięknego, przestraszyła się i chciała uciekać. Ale król lasu wstrzymał ją za rączkę.

— Nie bój się mnie, powiedz mi, kto ty jesteś i po co przyszłaś tu?

— Puść mnie — rzekła, lecz król lasu nie puścił jej.

— Ja jestem córką króla powietrza, a na imię mi Ska.

I zaczęła opowiadać całe swe życie i przejścia.

— A teraz mi powiedz, kto ty jesteś?

— Ja jestem król lasów, tego oto kraju.

— Nie gniewasz się na mnie królu, żem przekroczyła granice twego państwa?

— Nie gniewam się, ale cieszę się, żem cię poznał. Bóg mi cię posyła. Już stąd cię nie puszczę i musisz być moją, moją na wieki.

I przycisnął ją czule do piersi. Nie broniła się królewna, lecz położyła głowę na jego ramieniu, szeptała cicho słowa miłości:

— Znalazłam to, za czem lata tęskniłam, znalazłam ciebie. Tyś piękny, tyś dobry. Ale obawiam się ojca, jak przyjedzie, a nie zastanie mnie w domu, roześle sługi swoje i pochwycą mnie.

— Nie bój się, twój ojciec silny, bardzo silny, ja przy nim niczem, ale twój ojciec nie posiada siły przeistoczenia się, jak ja. Ja mogę przemieniać się parę razy i przemienię ciebie, jak będzie potrzeba. Ale ja cię już nie puszczę. Tu ci będzie wesoło w kołysankach i upojeniu, tu śpiewać ci będą drzewa i ptaszki, tu nigdy nie zaznasz smutku, bo nie zaglądnie do nas, tu nam zawsze będzie rozkosznie i dobrze, tu będziemy się bawić, tu będziemy żyć, tu burza nie będzie chuczeć nad naszemi głowami, tu grom nie wstrząśnie nami.

— Tu na twych rękach chcę umrzeć, — rzekła Ska, — już do ojca nie wrócę.

I tak żyli razem mile, nawet Ska zapomniała, że może jej stać się co złego ze strony ojca. Aż tu jednej nocy, król powietrza przyjecha, a nie zastawszy córki w domu, wpadł w siarczysty gniew, rozkazał sługom, ażeby jechali szukać córki nawszystkie strony świata. Ska i król lasu usłyszeli od gór wielkie krzyki i wrzawę. Przestraszyli się bardzo, bo się domyśleli, co to znaczy. Poczęli więc uciekać, lecz już było zapóźno. Król powietrza zobaczył ich. Naraz powstał taki huragan, że jeszcze takiego nie było, jak świat światem. Drzewa wyrywało, wyło, skomlało. Zatrzęsła się cała okolica, a lud myślał, że koniec świata nadchodzi. Ska i król lasu, już nie mieli ratunku, w każdej chwili czekała ich śmierć.

— Słuchaj moja Ska, ja cię zamienię na piękną łąkę, a na imię ci będzie Polana. A ja się przemienię w drzewo, a na imię mi będzie Dąb.

I tak się stało. Z królewny zrobiła się piękna Polana i zakwitła ślicznem kwieciem, które nigdy nie więdło, lecz zawsze kwitło jednako. A z króla lasu zrobił się silny największy Dąb. Tuż u jej stóp, rozłożył swoje ramiona i całymi dniami śpiewał jej, strzegł jak maleńkie dziecię. A gdy przyszły wiosenne wichry i burze, a pioruny huczały, jak działa, wtenczas brał ją w objęcia, zasłaniając ją od nieszczęść. I tak żyli długo, aż powstał potężny kraj, który dostał nazwę z jej obu imion. Pol-(ana)Ska. A kiedy ludzie wynaleźli kosę, poczęli kosić trawę, tak i naszą piękną Polanę spotkało to, że i ona musiała dać swoją głowę pod kosę. Zapłakał Dąb nad swoim losem i chciał się pomścić lecz nie miał siły. Został sam, sam jeden, to też całymi dniami i nocami płakał za Polaną, aż z jego łez wypłynęła śliczna rzeka zwana Wisłą, królową rzek polskich.

Maryśka z Kamionki.

W Danji a u nas.

Od jednego z naszych Czytelników w Danji otrzymaliśmy list, który jako będący bardzo na czasie zamieszczamy poniżej.

Majbolle Guldborg L. w czerwcu.

Szanowna Redakcjo »Roli!«

Szanowna Redakcjo „Roli"! Ponieważ żyję w tym małym kraiku przeszło dwadzieścia lat, postanowiłem się podzielić memi spostrzeżeniami z Czytelnikami „Roli". Chcę przedewszystkiem zaznajomić Czytelników ze sposobem życia tutejszego ludu, jak również zwrócić uwagę wieśniaków w Polsce na niektóre przestarzałe i rażące zwyczaje z codziennego życia. Nie mam wcale zamiaru krytykować swych rodaków, sądzę jednak, że powinienem zabrać głos w sprawach, które zdają się być małoznacznemi, a pomimo to rzucają jaskrawe światło na poziom kultury całego narodu. Zachodzące różnice podaję krótko bez niepotrzebnego rozpisywania się.

Jak żyją wieśniacy w Danji, a u nas w Polsce? W Danji znajduje się jeszcze spora ilość niskich domków ze słomianą strzechą, jednak nawet najuboższy posiada kilka pokoi, a zwłaszcza osobne sypialnie. Są również osobne łóżka dla dzieci, które nigdy nie śpią ze starszemi, ani też po kilkoro w jednem łóżku. W Polsce nawet zamożniejsi wieśniacy posiadają jedną lub najwyżej dwie izby tak zwane mała i duża izba. W małej izbie mieszczą się żarna, stępa i różne rupiecie; w dużej znajdują się razem kuchnia i sypialnia, a w niej jedno łóżko i czasem tylko u niektórych gospodarzy tak zwane ślubany (Schlafbank: ławka do spania). Dzieci w Polsce są zmuszone sypiać razem z rodzicami lub starszymi, bądź też w stodołach, stajniach, gdzie sam zmuszony byłem sypiać. Za okrycie służą zwykle stare płaszcze, kożuchy lub inne szmaty.

W Danji każdy Duńczyk jest ubrany czysto, podarte łachmany nie są tu znane nawet do pracy, wszyscy tu jak w lecie tak i w zimie chodzą w obuwiu. Chodzenie boso jest tu nieznane. Niejeden u nas w Polsce w czem znajduje się przy pracy w polu lub u bydła w stajni, gdzie często przy wyrzucaniu gnoju przylepi się coś nieczystego, w tem paraduje na wesele, chrzciny lub do kościoła. Dzieci u nas w Polsce prawie wszystkie chodzą boso, w porze letniej są zwykle obdarte i brudne, w Danji mieszkania są utrzymywane w największej czystości, pluskwy i inne robactwa są tu nieznane, bo nie istnieją.

W Polsce ściany mieszkania chłopa polskiego uginają się po prostu pod ciężarem obrazów świętych, za którymi krociami gnieżdżą się pluskwy. Jest to urąganie z obrazów świętych zwałszcza, tylko podczas bielenia ścian z okazji wielkich świąt raz lub najwyżej dwa razy do roku oczyszcza się je z tego paskudztwa. W wielu domach brak podłogi, którą stanowiła glina, co znowu sprzyja mnożeniu się pcheł i karaluchów. W Danji w mieszkaniach nie przetrzymuje się kur, gęsi lub królików. W Polsce — prawie w każdym domu polskiego chłopa rezydują kury lub króliki „pod piecem". W zimie zabiera się do izby nawet małe prosięta lub kozy, czasem i krowę na ocieleniu.

W Danji spożywanie potraw odbywa się w sposób cywilizowany, wszyscy jedzą przy stole, używając talerzy, noży i widelców. W Polsce — jedzenie odbywa się w sposób prymitywny, zwykle stawia się misę na zydlu lub ławce, a cała rodzina czerpie strawę z jednej misy wprost do ust, a dzieci częstokroć sprzeczają się o tak zwane skwarki, które stanowią okrasę strawy. A jeżeli jest podawane mięso, co się z dziwu trafi na wsi, to każdy bierze swój kawałek do ręki, a tylko mu tłuszcz cieknie między palce, które oblizuje razem z brudem, gdyż na wsi widelce są nieznane.

W Danji przy każdym domu znajdują się miejsca ustępowe czyli gabinety. W Polsce naturalną potrzebę załatwia się zwykle za stodołą, w krzakach itd. na oczach przechodniów.

Mógłbym jeszcze przytoczyć więcej faktów, ale sądzę, że te jako najważniejsze wystarczą, aby zwrócić uwagę naszego wieśniaka na potrzeby konieczne w życiu cywilizowanego człowieka, gdyż chyba nikt nie życzy sobie, aby nasz kraj był uważany za barbarzyński, brudny i zacofany. Nakoniec muszę zwrócić uwagę na bardzo szkaradny zwyczaj naszego wiejskiego ludu, który z pewnością nie zdaje sobie sprawy, jaką szkodę wyrządza sobie i całemu narodowi. Mianowicie na zwyczaj szukania i bicia wszy, zwykle przez kobiety i dziewki w niedziele i święta po obiedzie. W tym to czasie, zwłaszcza w porze letniej, zauważyć można siedzące w oknach, na progach chat lub sadach kobiety, które szukają sobie wzajemnie robactwa w głowach. Czyż niema lepszego sposobu do załatwienia się z paskudztwem?

Powiedziałby może niejeden, że nasz lud jest bardzo biedny i dlatego nie może sobie pozwolić na żadne wygody. Na to odpowiadam, że tak w Danji jak i w innych krajach zachodnio-europejskich, jest dosyć biedaków czasem niemających kęsa chleba, ale mimo to każdy dba o czystość i higjenę.

Jeżeli oszczędzać, to na czem innem, a nie na tak koniecznych potrzebach, jak dbanie o czystość. Czy konieczne jest sprawianie tak hucznych wesel, trwających po kilka dni z rzędu, które się jeszcze czasem kończą tragicznie przez bijatykę, lub chrzciny, a które kosztują często setki złotych, zamiast te setki obrócić na porządek i oświatę.

Kończąc swoje pisanie, wzywam cię ludu wiejski do czytania dobrych gazet i książek, z których płynie rozum i oświata, a z oświaty płynie czystość na ciało i duszę i całe gospodarstwo wasze. Cześć!

Józef Rudnik
polski robotnik rolny w Danji.



Poradnik gospodarczy.

Na polu zasianem koniczyną pojawiają się już wczesną wiosną, czerwono-żółte nitki oplątające rośliny koniczyny i zapuszczające w nią ssawki. Po drugim pokosie, koniczyna już silniej się rozrośnie, tworzą się jaśniejsze koła żółtawe, w których koniczyna prawie przykryta jest nitkami kanianki. Za pomocą zapuszczonych ssawek czerpie kanianka pożywienie z roślinek koniczyny, niszcząc je i nie dopuszczając do należytego ich wzrostu. Kanianka dostaje się na pole często z nie dobrze wyczyszczonem nasieniem koniczyny. Nasienie kanianki podobne do maleńkich, okrągłych, szarych bryłek ziemi, pomieszanych z nasieniem koniczyny. Aby je usunąć, trzeba nasionka koniczyny przesiać przez sita, których oczka powinny być nie większe, jak na jeden milimeter. Przez takie sita przepuszczona koniczyna zatrzymuje się, a przelatuje tylko nasienie kanianki, które po zebraniu należy gruntownie zniszczyć. Z nasionka kanianki, które dostało się do koniczyny wyrasta cieniutka niteczka, która wznosi się do góry, a gdy napotka łodyżkę roślinki koniczynki, chwyta ją, okręca wokoło, zapuszcza w nią ssawki. Kanianka rozmnaża się bardzo szybko i nie niszczona wnet pokrywa całe łany. Każda urwana niteczka i niebacznie rzucona, rozrasta się w nowy pień na łodygach koniczyny i dlatego, gdy przystąpimy do jej tępienia, należy postępować bardzo umiejętnie i ostrożnie, aby jej nie roznieść, ale rzeczywiście wygubić.

Najlepszem lekarstwem na nią jest siarczan żelaza rozpuszczony w wodzie. Na 1 kg. siarczanu 5—6 litrów wody. Polana tym rozczynem niszczeje zupełnie wraz z koniczyną.

U nas tępi się kaniankę w następujący sposób: miejsce, gdzie pasożytuje kanianka, należy wykosić sierpem przy samej ziemi, przed zakwitnięciem kanianki, zabrać na płachty, wynieść na wolne miejsce, założyć ognisko i na niem kaniankę wraz z koniczyną spalić, ale tak, aby nie zostało z niej w miejscu wzrostu najmniejszej niteczki. Miejsce, na którem rosła kanianka posypać plewą jęczmienną, polać wodą, przydeptać i przysypać ziemią, aby resztki jakieś lub nasionka wydusić. Można całe to miejsce, zasypane plewą, zapalić i wypalić. W ten radykalny sposób daje się wygubić doszczętnie tego pasożyta. A rozumny gospodarz nie powinien ociągać się z wygubieniem kanianki, gdyż w przeciwnym razie poniesie dotkliwą stratę.

Często po wsiach przy drogach na zielsku, zwłaszcza pokrzywach, hodują nasi mieszkańcy wsi, tego strasznego szkodnika, dozwalając mu lekkomyślnie przenosić się z miejsca na miejsce, choć nawet ustawa nakazuje tego szkodnika tępić bez litości.

Innym pasożytem naszych uprawnych roślin jest tak zwana „Zaraza ziemniaczana". Przebywa ona, jak nazwa wskazuje, na liściach ziemniaka, powoduje, iż liście ziemniaków często na początku lata czernieją i obsychają. Dzieje się to dlatego, iż na spodzie liści tworzy się meszek białawy, podobny do pleśni, z którego wyrastają cieniuchne niteczki, z których zwisają drobniutkie woreczki, w których są zarodniki grzybka. Grzybek wywołuje zarazę ziemniaczaną. Zarodniki dostają się do ziemi i tu wraz z kroplą wody wsiąkając, rozłażą się między grudkami ziemi, a gdy spotkają bulwę ziemniaczaną, obsiadają ją i kiełkują, a wrastając w ziemniaka, powodują gnicie tegoż.

Zaraza ta rorozwija się silniej w roku mokrym. W roku suchym grzybek nie rozwija się zaraz w roli, ale dopiero w piwnicy powoduje masowe psucie się ziemniaków.

Aby zapobiec temu, okopuje się ziemniaki wysoko, aby spływająca woda zabierała zarazki i wsiąkała w poglebie. Lepszem lekarstwem jest radykalne wytępienie grzybka przez skropienie ziemniaków płynem sporządzonym z rozczynu wapna i siarczanu miedzi.

Płyn ten sporządza się w ten sposób, iż 2 kg. sinego kamienia rozpuszcza się w 50 litrach wody w naczyniu drewnianem, zaś 2 kg. wapna palonego suchego rozpuszcza się w innem naczyniu na mleko wapienne w 50 litrach wody i płyny te należy po przecedzeniu przez płótno zlać razem i dobrze wymieszać. Mieszaniną tą skropić pole ziemniaczane dwa razy: raz, gdy ziemniaki co tylko wyrosły z ziemi, drugi raz przed kwitnięciem.

Zabieg ten tępi radykalnie zarazę i przyczynnia się do lepszego wzrostu ziemniaków.

Jan Matysik.

KRONIKA.

Od Administracji. Niniejszy numer przesyłamy wszystkim Prenumeratorom. Następny numer otrzymają już tylko ci, którzy nadeślą na czas prenumeratę. Prosimy zatem o niezwłoczne wysłanie prenumeraty, aby uniknąć przerwy w dalszej przesyłce „Roli".

Przy sposobności nowego półrocza prosimy wszystkich Czytelników o jednanie nam nowych prenumeratorów, a korzyści z tego tylko sami Czytelnicy osiągną. Zwłaszcza teraz, gdy już wieczory będą coraz dłuższe, jednanie nowych prenumeratorów nie będzie rzeczą zbyt trudną, a wydawnictwu wielką pomoc przynieść może.

Przepowiednie na lipiec. Dyrektor berlińskiego Instytutu meteorologicznego, Dr Kön'g, ogłosił w berlińskich pismach przepowiednie, dotyczące lata. Brzmią one bardzo pesymistycznie i przepowiadają deszcze, zimno i brak słońca. Wahania temperatury będą tak wielkie, iż należy się przygotować nawet na przymrozki. Przyczyną tego niezwykłego objawu będą góry lodowe w okolicy Grenlandji, Islandji i Szpitzbergu, które zatrzymały się w swych posunięciach dalej ku południowi, gdzieby roztopiły się w słońcu i cieplejszych prądach morskich. Najsroższa fala zimna i deszczów nawiedzić ma północno-wschodnią Europę, a zatem znaczna część Polski znajdować się będzie w promieniu, objętym niepomyślnemi przepowiedniami wakacyjnemi. Nie zawadzi tedy mieć na lato w pogotowiu buty i kożuch.

Sprowadzenie zwłok J. Słowackiego. W nbiegły poniedziałek przybyły prochy J. Słowackiego do Krakowa. We wtorek odbył się uroczysty pogrzeb. Obszerniejsze sprawozdanie umieścimy w następnym numerze „Roli".

Okradzenie cudownego obrazu. Jak donoszą z Tarnobrzega dokonano w kościele OO. Dominikanów świętokradztwa. Nieznani sprawcy zakradli się tam w nocy, zabierając z obrazu Matki Boskiej złotą koronę wysadzaną drogiemi kamieniami. Wartość skradzionego przedmiotu wynosi przeszło 40.000 zł. w złocie. Energicznie zarządzone śledztwo nie doprowadziło dotąd do rezultatow.

Niezwykłe zjawiska przyrody. W ubiegłym tygodniu nad wsiami Rydomlem i Zwiniaczem powiatu krzemienieckiego przeszła szalona burza z okropną ulewą i gradem wielkości włoskich orzechów, który grubą warstwą pokrył pola. Podczas tej burzy na Zwiniacze pola upadła olbrzymia bryła lodu. To nadzwyczajne zjawisko przyrody wywołało popłoch wśród ludności, srodze dotkniętej powodzią i gradem, który już drugi raz w tym miesiącu nawiedził te okolice, czyniąc spustoszenia na polash i w ogrodach. Pewien pułkownik byłej armji rosyjskiej w swych listach do krewnogo na Wołyniu pisze o następujących zjawiskach w Rosji: W Batajsku kolo Rostowa nad Donem w początkach czerwca b. r. spadł obfity czerwony grad, wydający niemiłą woń. Wśród mieszkającego tam dońskiego kozactwa ten grad wywołał paniczny strach. W kilku dniach po tym gradzie było wiele wypadków nagłych zgonów. Szczególnem jest, że żadna z sowieckich gazet nie zamieściła notatek o tem zjawisku, co świadczy o tem, że bolszewicy zakazali prasie rozpowszechuiania wśród ludności tej wiadomości.

Plaga szczurów w Budapeszcie. Przed niedawnym czasem pojawiły się na jednem z przedmieść Budapesztu szczury, które w ciągu kilku miesięcy tak się rozmnożyły, że są obecnie plagą dla mieszkańców okolicznych ulic. W ciągu ostatnich dni niejednokrotnie się zdarzało, że całe stada szczurów napadały na przechodniów, którym z trudem udawało się opędzić przed natrętnymi gryzoniami. Nie mija dzień, by w Budapeszcie nie zanotowano kilka pokąsań dzieci przez szczury.

Niesamowity pasażer. W pociągu idącym z Budapesztu do Szegedina zdarzyła się onegdaj osobliwa historja. Do przedziału pierwszej klasy, w którym siedział jakiś starszy pan, wsiadło młode małżeństwo i zajęło miejsca naprzeciw owego pasażera. Po pewnej chwili młoda mężatka, z natury dość nerwowa, zaczęła uczuwać coraz rosnące podrażnienie, gdyż siedzący naprzeciw jegomość uporczywie wlepiał w nią dziwnie niemiłe spojrzenia. Po cichu zwróciła na to uwagę mężowi, który chcąc natręta przestrzec, rzekł półgłosem, ale tak dobitnie, aby go zrozumiano:

— Jeśli cię natychmiast nie przestanie fiksować, dam mu w papę!

Lecz nieznajomy, na którego twarzy przywarł jakiś niesamowity wyraz gorzkiej ironji, nadal wpatrywał się uporczywie w kobietę. Wówczas rozzłoszczony małżonek zerwał się i zuchwalcowi wymierzył siarczysty policzek. Jakież było jego przerażenie, gdy pasażer natychmiast jak kłoda zwalił się na ziemię i legł nieruchomo, nie tracąc jednak swego szyderczego grymasu twarzy. Małżonkowie próbowali go ocucić, lecz ze zgrozą przekonali się, iż mają do czynienia z zimnym trupem. Tajemniczy pasażer musiał widocznie umrzeć przed kilku godzinami, a przyćmione światło lampy nie pozwoliło jadącym poznać, że naprzeciw nich siedzi — nieboszczyk. Młoda pani dostała spazmów, zaś jej mąż zaalarmował personal pociągu. Na podstawie znalezionych przy zmarłym dokumentów stwierdzono, że był to niejaki Iwo Zeleny, zamożny kupiec z Szegedina. Przyczyną zgonu był udar sercowy.

Łoże pojednania. Muzeum w Lincu nabyło do swych zbiorów niezwykły okaz, pochodzący z końca 17 go stulecia. Jest to tak zwane „łoże pojednania", sporządzone we wsi Marchtrenk, w Austrji, na rozkaz miejscowego sędziego Jana Kützingena. Wiejski sędzia nie mógł sobie dać rady z pewną parą małżeńską, która wszczynała ciągłe spory i mąciła spokój mieszkańców. Żadne napomnienia i kary nie odnosiły skutku. Hans i Anna kłócili się bezustannie. Wreszcie sędzia wpadł na pomysł. Kazał stolarzowi zrobić łoże na biegunach, polecił kłótliwych małżonków skrępować powijakami jak dzieci i po niedzielnem nabożeństwie wynieść ich na plac przed kościołem. Mieszkańcy zbiegli się tłumnie, by ujrzeć niezwykłe widowisko i do wieczora kołysali małżonków.



Kara ta podziałała. Hans i Anna żyli od tego czasu w najlepszej zgodzie. Pomysł sędziego z Marchtrenk znalazł uznanie u sąsiadów i kilkanaście wsi okolicznych

sprawiło sobie podobne kołyski, na postrach dla kłótliwych małżeństw. W całej okolicy zapanowała zgoda domowa.

Sprytny służący. W Medjolanie zmarł w tych dniach Don Carlo Gallarati Scotti, hrabia San Pietro, książę Molfetta, znany podróżnik, przyrodnik. Scotti ze swoich licznych podróży przywoził okazy ze świata zwierzęcego i roślinnego okolic mało zbadanych. Część swoich zbiorów ofiarowywał do ogrodu zoologicznego, część hodował z swoim pałacu lub też ogrodzie okalającym pałac. Stary służący Scottiego wyciągnął z tego zamiłowania swego pana oryginalną korzyść. Ilekroć do Scottiego zjawiał się jakiś interesant, lub gość, który nie był pożądany, stary służący, który z całym ceremonjałem sadzał gościa w poczekalni — odzywał się w pewnej chwili słodkim, troskliwym głosem: „Zechce pan uważać, bo przed dwoma godzinami uciekły nam z klatki dwa jadowite węże, których nie możemy znaleźć nigdzie, może siedzą tutaj gdzieś w meblach". Niepożądany gość po kilku minutach wynosił się z poczekalni i nie zjawiał się dłuższy czas w pałacu.

Zaczarowany bukiet. W małej miejscowości pod Rzymem rozegrała się w ostatnim tygodniu niesamowita historja, przypominająca swoją tajemniczością praktyki średniowieczne. Młoda Włoszka nie chciała wyjść za mąż za jednego ze swoich kuzynów. Był biedny przytem lekkomyślny. Odrzuciła jego oświadczyny, a potem w parę miesięcy zaręczyła się z bogatym Amerykaninem. Przed ślubem na parę godzin do młodej dziewczyny zbliżył się dawny konkurent i oświadczył, że się zemści. Nadszedł dzień ślubu. Uroczystość odbyła się spokojnie. W czasie tańców, które nastąpiły po uczcie weselnej, ktoś wręczył pannie młodej bukiet wspaniałych kwiatów. Kto to był nikt nie wiedział. Panna młoda poczęła wąchać kwiaty, które pachły jakoś dziwnie. Bukiet powędrował do rąk pana młodego i do krewnej. Nagle uroczystość weselna została przerwana. Panna młoda i owa krewniaczka dostały ataku spazmów. W kilka chwil potem pan młody uległ atakowi nerwowemu. Goście rozjechali się do domów. Do państwa młodych wezwano lekarzy. Nikt jednak nie wiedział co jest przyczyną nagłej choroby. Starzy wieśniacy, dowiedziawszy się o tym wypadku, kiwali ze zrozumieniem głowami. Jeden z nich oświadczył rodzinie, że bukiet był zaczarowany, iż odpalony Francesco zemścił się w ten sposób. Gdy lekarze zawiedli — udano się do znachorów. Znachorzy jednak oświadczyli, że czarów zdjąć nie mogą, bowiem są za silne i im nieznane. Zwrócono się do mieszkających w sąsiedztwie zakonników, aby wypędzili djabła z trojga zaczarowanych osób. Egzorcyzmy nic nie pomogły. Panna młoda i jej ciotka kilkakrotnie w ciągu dnia ulegają spazmom, a pan młody leży w jakimś otępieniu i nie potrafi doliczyć do trzech.

„Hrabia Piotr". Ongi głowa apaszów paryskich a obecnie człowiek ustatkowany i poczytny literat, Netley Lucas, ogłosił sensacyjne rewelacje, dotyczące niejakiego „hrabiego Piotra"., człowieka niezbadanego nazwiska i narodowości, który od lat dwudziestu żyje z okradania najbogatszych ludzi na świecie, fałszowania czeków, rozbijania kas bankowych i do tej chwili nie wpadł jeszcze w ręce policji. „Hrabia Piotr" pozostawał w czasie wojny światowej na usługach niemieckiej służby szpiegowskiej, nosił mundur francuskiego oficera korpusu lotniczego i był przyjacielem słynnej Mata-Hari, tancerki holenderskiej, którą rozstrzelali Francuzi w roku 1916, udowodniwszy jej szpiegostwo. Wtedy aresztowano także „hrabiego Piotra" i zdawało się, iż nie zdoła się wymknąć z rąk sprawiedliwości. Sprytny szpieg zdołał jednak nietylko wydobyć się z matni, lecz uzyskał pełne zadośćuczynienie za niesprawiedliwe podejrzenia. Po zawarciu pokoju „hrabia Piotr" wyjechał z Paryża. Bawił jakiś czas w Berlinie i Londynie, potem przeniósł się do Nowego Jorku. Pracował nad czemś i organizował jakieś towarzystwo międzynarodowe. W pracach tych pomagała mu pewna młoda i bardzo piękna Rosjanka, pochodząca podobno ze sfer arystokratycznych. Zdawało się, iż „hrabia Piotr" nawrócił się i zamierza pracować uczciwie. Przy niezwykłej inteligencji, znajomości świata, języków oraz ogromnych zdolnościach organizacyjnych, mógł zrobić karjerę. Natura ciągnie jednak wilka do lasu. Genjalny szpieg i oszust zorganizował międzynarodową bandę złodziejską, posiadającą swe filje w największych stolicach. Ogłosił się jej „naczelnym wodzem" i rozpoczął działalność na wielką skalę. W głównej kwaterze „hrabiego Piotra" wre ożywiona praca, nadchodzi i wychodzi liczna korespondencja, a utrzymywanie w porządku archiwum, zawierającego fotografje najbogatszych ludzi świata i agentów śledczych, wraz z drobiazgowym opisem ich sposobów życia, przyzwyczajeń, upodobań i t. d., wymaga wiele systematycznej pracy. Główna kwatera „hrabiego Piotra" zmienia często lokal i jest znakomicie zakonspirowana.

Przekonywujący argument. Angielski admirał Kerr przytacza w opublikowanych niedawno przez siebie pamiętnikach zabawny epizod z dziejów panowania królowej Wiktorji. Jeden z „monarchów" zachodnio-afrykańskich złożony został z tronu, skazany na banicję i ograniczony w składzie swojego licznego haremu do skromnej ilości 5-ciu żon. Murzyński władca uważał, iż ten ostatni warunek stanowi największą zniewagę jego „czarnego majestatu" i wystosował przeto do Londynu list następującej treści: „Droga siostro-królowo! Wydałaś mi polecenie opuszczenia mojego państwa. Może miałaś słuszne według ciebie ku temu powody. Lecz jednocześnie rozkazałaś, bym nie zabierał ze sobą więcej, jak pięć żon; otóż ilość ta jest absolutnie niegodna dostojeństwa królewskiego. Proszę cię więc, byś mi pozwoliła wziąć przynajmniej dwanaście żon. Czy zresztą ty sama nie czułabyś się upokorzona, gdyby tobie pozwolono mieć tylko pięciu mężczyzn? Zastanów się!". Królowę Wiktorję tak ubawiła treść listu, a zwłaszcza ostatni jego ustęp, iż poleciła uwzględnić prośbę swojego czarnego „brata" i dodać mu siedem żon.

Zaprosiny na cudze wesele. Jakiś nieznany żartowniś w Londynie pozwolił sobie na niewczesny żart, zapraszając około 2 500 osób na wesele córki lorda Key-Keysant, która wychodziła zamąż za hrabiego Hendersona. Zaproszenia rozesłano do dyplomatów, posłów, wysokich urzędników i członków rodzin arystokratycznych. Na kilka godzin przed ślubem spostrzeżono dopiero żart, gdy nadchodzić poczęły listy i telegramy z usprawiedliwieniami, iż zaproszony nie będzie mógł wziąć osobiście udziału w uroczystości. Chcąc uniknąć nieporozumień, rodzice nowożeńców zmuszeni byli przyjąć kilkaset osób ponad program.

Tragiczny wypadek. Przed kilkoma dniami wydarzył się w Belgji tragiczny wypadek. Samochód jadący z Anvers zatrzymał się w Blankenberghe. Wysiadł z niego pan Van Benckel, właściciel samochodu i otworzył drzwiczki. Ku swojemu przerażeniu ujrzał, że siedząca wewnątrz pani d'Oisy, jej troje dzieci i służąca, leżą nieprzytomni na dnie samochodu. Równocześnie zauważył, że wdwnątrz unosi się silna woń benzyny. Lekarze zdołali odratować cztery osoby. Natomiast mały chłopak d'Oisy umarł. Śledztwo wykazało, że w czasie jazdy benzyna przedostała się ze zbiornika do wnętrza samochodu i zatruła jadących.

Porwanie w samolocie. Stało się to oczywiście w Ameryce, w kraju awanturniczych rekordów. Dawniej porywano oporne dziewice nocą, na koniu lub w karecie. Dzisiaj — w samolocie. Miss Noraen Burke, bardzo piękna dziewczyna z San Diego zgodziła się odbyć lot z młodzieńcem nazwiskiem Lavotte, którego propozycje małżeńskie odrzuciła przed kilku miesiącami. W samolocie znaleźli się więc młoda miss, jej odrzucony konkurent i przyjaciel miss, Dr Jan Steen. Przed wzlotem lotnik, odpalony konkurent, zaproponował Dr Steenowi, aby oglądnął sobie dokładnie aparat. Gdy Dr Steen ogladał, Lavotte ruszył nagle z miejsca i uniósł się w powietrze. Z góry już zawołał do swojego przyjaciela: „Albo mnie ona poślubi, albo zginiemy oboje". Samolot udał się w kierunku Kalifornji, gdzie z pewnością wyląduje.

Przygody miodowego miesiąca. U ludzi bogatych jest zwyczaj, że państwo młodzi pierwsze tygodnie po ślubie, zwane pospolicie „miodowym miesiącem", spędzają na podróży po obcych krajach. Obyczaj ten istnieje najbardziej rozpowszechniony między Amerykanami, którzy zazwyczaj na podróż poślubną wybierają się do Europy i zabawiają się w największych i najbogatszych miastach, jak Londyn, Paryż, Wiedeń. Jednak są i tacy, którzy lubią polowanie, dzikie okolice niewygody i w takie strony jadą z młodemi żonami. Tak też zrobiła niedawno młoda para amerykańska, która chciała zaznać niezwykłych przygód i miała szczęście, bo spotkały ją przygody istotnie niebywałe.



Pospieszyli zatem do Alaski, najbardziej na północ położonego kraju Stanów Zjednoczonych. Pewnego poranku młodzi małżonkowie jechali sobie konno przez lasy w towarzystwie myśliwców miejscowych, którzy pokazywali im drogę. Nagle na polanie leśnej wyskoczył z krzaków olbrzymiej wielkości jeleń. Dzikie zwierzę, przestraszone widokiem ludzi, do czego nie przywykło, rzuciło się na jeźdźców i jednem potężnem uderzeniem rogów rozpruło brzuch koniowi młodego męża. Żona jego strzeliła z rewolweru do jelenia, chybiła jednak i ugodziła kulą psa, który padł na miejscu trupem. Na szczęście jeleń przestraszył się wystrzału i uciekł. Wtedy małżeństwo zaczęło sobie robić wyrzuty. Mąż zarzucał żonie, że o mało co jego samego nie zabiła z rewolweru, żona drwiła i wyśmiewała męża, że nie umie jeździć dobrze konno i nie potrafił uniknąć ciosu jelenich rogów. Od słowa do słowa szło coraz gorzej i wreszcie się pokłócili, że postanowili podać się do rozwodu.

Niebezpieczeństwo na morzu. Wstrząsającą przygodę opowiada pewien żeglarz morski z Ameryki, który świeżo powrócił z podróży do Australji. Prowadził on okręt pasażerski. Okręt pełen był podróżnych. W kajutach i salach było niezmiernie gorąco, ponieważ słońce piekło bezlitośnie, a wiatru nie było zupełnie. Gdy nadszedł wieczór i nieco ochłodziło się, wszyscy pasażerowie odetchnęli z ulgą, a nabrawszy sił, postanowili rozerwać się tańcami. Kilku panów nie chciało tańczyć, ale wyśmiała ich jakaś młoda panna, tłumacząc, że już nie jest gorąco, że nawet robi się chłodno, taniec więc wcale nie będzie w takiej chwili nieodpowiedni. To mówiąc, panna ta mocno chuchnęła na stalowe odrucia, na których para niemal, że się skropliła. „Prawda, kapitanie, że już nie gorąco?" — zapytała po chwili kapitana okrętu. Wszyscy spojrzeli w jego kierunku i oniemieli: kapitan bowiem w jednej chwili straszliwie pobladł, a zamiast odpowiedzieć owej pannie pobiegł coprędzej na mostek okrętowy. Po chwili na całym okręcie zaległa cisza grobowa, powiał jakiś chłód dojmujący, chłód śmierci, przerażenia, chłód straszliwy, nieopisany. Noc, dotąd jasną, powlekł całun nieprzeniknionej mgły. Jęk śrub i trzask łańcuchów okrętowych stał się nieporównanie donioślejszy. Nagle okręt zmienił kierunek i całą siłą pary począł się cofać. A po kilku kwadransach strasznych i długich jak wieczność, lodowato zimna mgła ustąpiła cieplejszemu powietrzu. Kapitan złożył ręce jakby do modlitwy i powiedział: „Dzięki Bogu, niebezpieczeństwo minęło". Pasażerowie wtedy dopiero dowiedzieli się, że uniknęli najstraszniejszego niebezpieczeństwa na morzu, mianowicie uścisków góry lodowej, która wszystko na swej drodze niszczy i mrozi.

Sprytna dziewczyna. Na jakie sposoby biorą się niektóre panienki, aby wyjść zamąż, dowodzi następujące zdarzenie. Oto do szefa pewnej bogatej firmy w Nowym Jorku przyszła stenotypistka Miss Betty Ellis-Gram i rzekła:

— Pracowałam w pańskim biurze trzy lata i dwa miesiące, przez ten czas otrzymałam od pana 100 tysięcy całusów, licząc 100 dziennie, z wyłączeniem niedziel, urlopów i pańskich nieobecności. Przypuszcza pan, że pocałunki jego były mi miłe? Musiałam je znosić, aby nie utracić posady. W chwili jednak, gdy wartość jednego pocałunku ustalił sędzia Richardson na dolara, występuję z pretensją i żądam odszkodowania.

W niezwykłym kłopocie znalazł się sędzia nowojorski, gdy stanęli przed nim młoda, przystojna stenotypistka i dyrektor firmy drzewnej, mr. James K. Howard, mężczyzna 30-letni.

— Przyznaje się pan do winy? Całował Pan Miss Ellis-Gramm? — pyta sądzia.

— Przyznaję.

— Tyle razy, ile wynosi jej obrachunek?

— Nie liczyłem.

— Ale ja prowadziłam buhalterję, podchwytuje oskarżycielka. Szef całował mnie 20 razy gdy wchodziłam do biura, 30 razy gdyśmy się rozstawali, w międzyczasie 5 razy po dziesięć pocałunków. Czasami było więcej. Biorę jednak przeciętną cyfrę 100 pocałunków dziennie. Szef przyrzekł mi małżeństwo, więc uważając się za narzeczoną, pozwalałam na pocałunki.

Sędzia próbuje pogodzić powaśnionych i proponuje znaczną redukcję ceny.

— Nie, nigdy, jestem uczciwa dziewczyną, mogłam wyjść za mąż, mam złamane życie — woła stenotypistka.

— A gdyby tak Mister Howard ożenił się z panią?

Dłuższa chwila milczenia.

— Mister Howard to niezły dla pana interes, — przekonuje sędzia, nie będzie pan płacił odszkodowania. Miss Gramm jest miłą, młodą i energiczną osobą. Staje zgoda. Małżeństwo ma się odbyć wkrótce. Sędzia wstrzymał się z wydaniem wyroku, aż do czasu przedstawienia mu świadectwa ślubu. Inna rzecz, czy małżeństwo w ten sposób zawarte będzie szczęśliwe.

RZECZY CIEKAWE.

Minister bez pensji.

Jedną z najsympatyczniejszych osobistości jugosłowiańskiego świata politycznego jest niewątpliwie minister dr. Pericz, który do niedawna jeszcze piastował urząd ministra bez teki. Otóż ministrowi Periczowi wydarzył się w tych dniach następujący — dość oryginalny wypadek. Kiedy dnia 1 czerwca zgłosił się do kasy w Radzie ministrów po swą pensję miesięczną, kasjer oświadczył mu, że w myśl najnowszych zarządzeń oszczędnościowych rządu jugosłowiańskiego ministrowie bez teki nie otrzymują żadnego wynagrodzenia. Na mocy tego samego zarządzenia ministrowi Periczowi odebrano prawo bezpłatnego korzystania z rządowego samochodu. Minister Pericz, dowiedziawszy się o nowem rozporządzeniu, wzruszył ramionami i opuścił gmach prezydjum Rady ministrów. Nie stracił jednak dobrego humoru i ze śmiechem opowiedział stojącemu przed gmachem prezydjum Rady ministrów dzienikarzom o swej przygodzie. Następnie z całym spokojem pożegnał się z przedstawicielami prasy i udał się (oczywiście piechotą, bo samochód mu odebrano) do domu. Jeden z obecnych dziennikarzy, chąc skorzystać z dobrego humoru ministra, dogonił go, prosząc o mały wywiadzik, na temat konfliktu z Albanją. Ale minister tym razem okazał wobec dziennikarza mniej życzliwości, oświadczając mu: „Nie dostaję pieniędzy, nie mam auta, nie mogę więc udzielać wywiadów".

Miljonowe miasta.

Przed wojną było na całym świecie około 12 miast, liczących ponad miljon mieszkańców. O szybkim rozwoju miast po wojnie świadczy wymownie fakt, że dzisiaj ilość miast miljonowych dochodzi do 40. Najwięcej miast miljonowych liczy Ameryka (25). W Europie następujące miasta mają ponad miljon mieszkańców: Londyn (przeszło 7 miljonów), Paryż (4 i pół.), Berlin (4), Moskwa (2), Wiedeń (1,800.000), Hamburg (1,500.000), Budapeszt (1,250.000), Liverpool (1,250.000); Birmingham (1,250.000), dalej idą Glasgow, Warszawa, Ateny, Manchester. W Ameryce największem miastem jest New-York, liczący 9,350.000 mieszkańców. Za nim idą następujące miasta: Chicago (3,500.000), Filadelphja (2,700.000), Buenos Aires (2,500.000), Rio de Janeiro (1,500.000). W Azji największem miastem jest Szanghaj, liczące dwa milj. mieszkańców. Na drugiem miejscu stoi Tokio, dalej Kalkuta, Pekin, Hankau, Bangkok, Kanton. Największem miastem Australji jest Sydney (ponad miljon mieszkańców).

Nowy typ samolotu.

Inżynier niemiecki, p. Engelbert-Zaschke dokonał w Joahimsthalu niezwykle interesujących eksperymentów z helicopterem własnej konstrukcji. Jest to samolot, umożliwiający prostopadłe wznoszenie się w górę, pozostawanie nieruchomo w powietrzu na dowolnej wysokości i niezależnie od stanu atmosfery. Aparat taki pozwala czynić szczegółowe obserwacje danego odcinka, dokładne fotografowanie frontu nieprzyjacielskiego etc. — ma on więc doniosłe znaczenie strategiczne.

Humor w nieszczęściu.

Słynny humorysta francuski, Georges Courteline, którego utwory, przedstawiające z strony zabawnej wszystkie warstwy społeczeństwa francuskiego, są niewyczerpanem źródłem śmiechu, musiał się poddać w roku ubiegłym amputacji nogi, dotkniętej zgorzelą.

Jak obecnie donoszą z Paryża, lekarze znów musieli, dla uratowania życia słynnemu pisarzowi, odjąć mu i drugą nogę.

Choć jednak tak okropnie dotknięty, Courteline nie stracił humoru. W tych dniach bowiem miał się odezwać do jednego z odwiedzających go przyjaciół:

— Gdybym był baletnicą, to oczywiście, musiałbym uważać to, co mi się przytrafiło, za ciężką stratę zawodową. Ale tak, jak jest!... Całe szczęście, że człowiek posiada tylko parę nóg, bo przynajmniej trzeciej nie mogą mi już odjąć, poprostu dlatego, że jej nie mam. Trzech odjąć od dwóch niepodobna...

Największy zegar na świecie.

Aczkolwiek pochodzący aż z roku 1515 zegar ten, umieszczony na wieży kościoła parafjalnego w Ruy (Sussex, Anglja), chodzi doskonale, zwłaszcza obecnie po dokonaniu kilku drobnych zresztą naprawek.

Zapłacono zań w swoim czasie niewiele, gdyż w przeliczeniu na obecną walutę około półtora funta szterlingów. Oczywiście wyrób jest bardzo prymitywny, — wskazówki są z żelaza kutego, wahadło zaś ma 7 mtr. długości i nakręcać trzeba zegar dwa razy dziennie, ale za to godziny wskazuje on od tylu wieków dokładnie.

Budowa nowego miasta pod Atenami.

Pewne szwajcarskie konsorcjum finansowe zaproponowało rządowi greckiemu wybudowanie nowego miasta między Atenami a Faleronem. Miasto to ma się nazywać Nowa Smirna, a byłoby zamieszkane przez uchodźców greckich ze Smirny, Azji Mniejszej i Konstantynopola. To samo konsorcjum finansowe zamierza również wybudować szereg nowoczesnych hoteli w rozmaitych uzdrowiskach greckich.

Zajęcia księżniczki bułgarskiej.

Wiele kobiet zazdrości księżniczkom ich urodzenia i zbytku, w jakim żyją.

I wydaje się powszechnie, że nic nie jest łatwiejszego jak być księżniczką i zbierać hołdy, uwielbienia i wydać się zamąż za księcia z bajki. Przypuszczenia te rozprasza księżniczka Eudoksja, córka króla bułgarskiego Ferdynanda i siostra panującego Borysa.

W rozmowie z dziennikarzem angielskim zwierzyła się księżniczka Eudoksja ze swych kłopotów i odmalowała swe życie w ten sposób, że niejedna z kobiet, przeczytawszy te słowa, westchnęła z ulgą:

— Jak dobrze, że nie urodziłam się księżniczką!

Powszechnie panuje opinja — mówi księżniczka Eudoksja — że córka królewska nic innego nie robi, tylko myśli o wyszukanych toaletach. Gdy aktorka filmowa gra rolę księżniczki, ubiera się w drogocenne suknie i kładzie brylantowy djadem na głowę.

Jest to bezsens. Kiedyś w odległej przeszłości może ubierały się w ten sposób córy królewskie, obecnie zaś nastały inne czasy.

W ciągu ostatnich dwu lat kupiłam sobie jednę tylko sukienkę, a z wszystkich toalet najbardziej mi przypada do gustu narodowy strój bułgarski. Oszczędności, które robię na toaletach, pozwalają mi przychodzić z pomocą biedakom. Nie zapominam bowiem, że jestem księżniczką zubożałego narodu.

Życie spływa mi pracowicie. Pomagam memu bratu, królowi Borysowi, w załatwianiu spraw państwowych.

Wyręczam go w przeglądaniu korespondncji, układam listy osób, proszących o audjencję, służę mu w wielu wypadkach radą, wstawiam się za winowajcami i muszę rzec z dumą, iż król chętnie słucha mych opinij i zasięga ich w każdej ważniejszej sprawie.

Od czasu zamążpójścia mej siostry jestem bardzo samotna.

Wiele mych przyjaciółek wyszło już zamąż i coraz rzadziej je spotykam. Z zamiłowaniem oddaję się sportowi, jeżdżę konno, gram w tennisa, lubię tańczyć, a nadewszystko zajmuje mnie literatura i muzyka.

Każda książka bułgarskiego pisarza sprawia mi wielką radość, nie zaniedbuję jednak lektury wybitnych dzieł zagranicznych.

Tak przechodzą me dni. Czasami przeżywam szczęśliwe i przyjemne chwile, ale muszę rzec, iż nie jest łatwo być księżniczką domu królewskiego i godnie odpowiedzieć swym obowiązkom.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Jan Konopka** z Z.: Dziękujemy serdecznie za uznanie. Pracujemy, ile siły, aby Czytelnicy byli zodowoleni. Na drugie półrocze mamy przygotowane wiele bardzo ciekawych rzeczy. — **Władysława Oprychówna** w K.: Panno Władziu! Zagadka a względnie szarada, aby była drukowana, musi być ułożona wierszem. — **Józef Morawa** w S. B.: Wierszyki otrzymaliśmy. Będziemy starali się wkrótce je umieścić. — **Jan Węgiel** w C.: „Żniwiarzy" zamieścimy. — **Anna Cieślar** w J.: Rozwiązanie zagadek z Nru 24 otrzymaliśmy zapóźno. — **Franciszek Macioł** w S.: Wierszyk naprawdę ładny, więc będzie wkrótce. — **Władek z pod lasu:** Wiersz p. t.: „Przestroga na drogę życia" jest w tece przeznaczony do druku. Szarada: A-ku-mu-la-to-ry inaczejby wyglądała, gdyby się Pan był lepiej zastanowił.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 24 czerwca b. r.

Pszenica .	54·00—55·00	Słoma długa	5·50—6·00
Żyto . .	51·00—53·00	Ziemniaki stoł.	00·00—00·00
Owies . .	43·00—44·00	Koniczyna na-	
Jęczmień .	00·00—00·00	sienn. czer.	00·00—00·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Włodzimierz Szewczuk z J.).

■ ☆ ☆ □ Jest w żywem ciele.
☆ ■ □ ☆ Środek obronny.
☆ □ ■ ☆ Naczynie.
□ ☆ ☆ ■ Warsztaty okrętowe.
☆ □ ■ ☆ Wspak zrobić czystym.
☆ ■ □ ☆ Naczynie.
■ ☆ ☆ □ Dostojnik turecki.
☆ ■ □ ☆ Tłuszcz.
☆ □ ■ ☆ Wspak inaczej odezwa.
□ ☆ ☆ ■ Napój.
☆ □ ■ ☆ Nałóg.
☆ ■ □ ☆ Napis.
■ ☆ ☆ □ Część ciała zwierząt.
☆ ■ □ ☆ Rodzaj broni.
☆ □ ■ ☆ Psuć się.
□ ☆ ☆ ■ Poznawać węchem (bez kreseczki).
☆ □ ■ ☆ Głupi.
☆ ■ □ ☆ Bóstwo.
■ ☆ ☆ □ Wspak zwierzę.

Litery zamiast kwadracików białych i czarnych, czytane z góry na dół dadzą imiona i przydomki dwóch królów polskich.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Władysław Bulek z O.).

Trzecia, czwarta, pół pierwszego
Nazwa owada ładnego,
Drugie no i głoska druga
Dosyć często nawet mruga,
Drugi i czwarte są w domu;
Nie rzekłbyś o tem nikomu,
Gdyby nie trzecia i piąta.
Po bitwie lekarz się krząta
Jeden po drugim na zmiany,
A przytem stale na rany
Piątej i czwartej używa.
Całość świat szybko przebywa.

II.

(Ułożył Władysław Stelmach z Rz.).

Pierwszą Egipcjanie mieli w alfabecie,
Że druga jest w gamie każdy wie toprzecie.
Całość pożyteczna dla tych co ją mają,
Przynosi pożytek tym co ją czytają.

III.

(Ułożył K. Rozwadowski z T.)

Pierwsze trzecie odgadniecie,
Gdy na surdut spoglądniecie,
Drugie trzęcie sypią ludzie
W czoła znoju, wielkim trudzie.
A całości wnet wam wpadną,
Gdy w mieszkaniu na łeb spadną.

3. Zagadki.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

I.

Co bywa nad nami do góry nogami?

II.

Czerwony początek, zielony wątek,
Białe dokończenie — proszę o zgadnienie.

III.

Czytaj go tak, czytaj go wspak,
Nie zmieni brzmienia,
Mają go ludzie, zwierzęta — ptaki
Nie służy do jedzenia.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 10 lipca br.

Znaczenie zagadek z Nru 25 „Roli": 1. Logogryf: Napoleon Bonaparte. 2. Szarady: 1. Ciemnota, 2. Batory. 3. Warszawa. 3. Bilety wizytowe: Ogrodnik, mechanik, rzeźbiarz, muzykant, profesor, adwokat, ziemianin, zegarmistrz, redaktor. 4. Przestawianka: Cierpi człowiek, bo służy sam sobie za kata: sam sobie robi koło i sam się w nie wplata.

Dobre rozwiązanie w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Józef Kaizer z W. G., Jan Wojnar z M. G., Kazimierz Tomaszek z T., Stefan Dziadkowiec z K., Józef Kapuściński z L., Florjan Ciebiera z Rz., Józef Gąsior z S., Leon Procner z S., Feliks Popielarczyk z W. D., Stanisław Czader z S. W., Alfons Czader z S. W., Piotr Wenc z S., Jan Wyrobek z J., Alojzy Cieślar z J., Władysław Sobol z P., Jan Lose z M. K., Jan Szilder z K. G., Józef Zagól z K., J. Sass z K., Wawrzyniec Rzepka z O., W. Flis z L., Leon Kranz z S., Jan Konopka z Z., St. Nowak z K. (wierszem), Leonard Bogdański z J., Czesław Kozłowski z W., Włodzimierz Szewczuk z J., Józef Zych z G., Janina Winiarzówna z K., Władysława Oprychówna z K.

Nagrody wylosowali pp.: Alfons Czader z S. W., i Jan Szilder z K. G.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Rozbitek z okrętu angielskiego wyrzucony został na bezludną wyspę. Błąkał się długo nie znajdując śladu istnienia ludzkiego. Był już w zupełnej rozpaczy, gdy w tem spostrzegł zdaleka coś, co obudziło w nim nadzieję. Zawołał radośnie:

— Jestem uratowany! Wyspę tę, jak widzę, zamieszkują ludzie cywilizowani.

Była to szubienica.

Seans telepatyczny w mieszkaniu pp. Lebenfisz.

— Więc zgadnij teraz, Moryc, co ja pomyślałem? — zapytuje młody Lebenfisz.

— Pomyślałeś, że jeżeli poproszę cię, abyś mi pożyczył 100 zł., to odpowiesz. „Nie dam". Zgadłem?

— Nic podobnego.

— Nie? No to dawaj pieniądze!

Niema dziwoty.

W pogoni za modną „linją" jedna z aktorek poznańskich doprowadziła swe kształty do straszliwego chuderlactwa. Kiedy w tych dniach rzucił się na nią jakiś pies, ktoś się odezwał:

— Czego się dziwić? Biedna psina nigdy nie widziała tyle kości naraz.

Co będzie robił na starość?

— Straszna historja!

— Co się stało?

— Czytam właśnie w gazecie, że jakiś dziewięcioletni chłopiec odebrał sobie życie.

— To doprawdy okropne. Pomyśleć, co taki pesymista będzie robił na starość?

Gdzie jest Plac Teatralny?

Pewien prowincjał przyjechał po raz pierwszy do Warszawy. Nie może się zorjentować. Podchodzi do policjanta:

— Przepraszam pana, gdzie jest Plac Teatralny?

— Plac Teatralny? Właśnie stoję na nim.

— Hm... To nic dziwnego, że go znaleźć nie mogę.

Aby ułatwić zachęcanie do zaprenumerowania „Roli" wszystkim nowym Prenumeratorom dajemy numera dla całości rocznika z I. i II-go kwartału po 2 zł 60 gr.

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie,
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.

W Administracji „Roli" są do nabycia niektóre numera „Roli" z roku 1912, 1913 nie tworzące całości rocznika, które się wysyła po nadesłaniu 15 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać w liście znaczkami pocztowymi.

Zawiadamiamy Sz. Czytelników, którzy mają z ich własnej winy numera „Roli" poniszczone lub zagubione, że możemy im w miejsce takich przesłać nowe po nadesłaniu 25 groszy za egzemplarz i można przysyłać w listach znaczkami pocztowymi.

Wszystkich prenumeratorów prosimy o adresy osób, któreby mogły „Rolę" zaprenumerować, a numera okazowe im prześlemy.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli" posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Kalendarze już wyczerpane!

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: Konto pocztowe 406.301 Kraków.

Na reklamacje znaczków pocztowych się nie nalepia, pisząc na zwykłej kartce „Reklamacja": Nr... nie otrzymałem i swój adres.

Rozszerzajcie „Rolę"
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły.